

Wzrost gospodarczy

DWUTYGODNIK
SPOŁECZNO-
GOSPODARZY

ROK XI WARSZAWA-20 CZERWCA 1956 R. NR 12 (263)

W NUMERZE:

Przeciwko technokracji — Eugeniusz Rychlewski — str. 3
Jak długo trwało bieżące przed-
wzięcie — Władysław Kosłowski — str. 4
Prace prawdy i pożytku w oparciu o —
Józef Jaworski — str. 5
Postęp techniczny w okowach blum-
krack — Albin Kania — str. 9

W SPRAWIE JAWNOŚCI

MIECZYSLAW MIESZCZANKOWSKI

Komuna nie miała preten-
sji do nieomyślności, czym
różniła się od wszystkich
bez wyjątku starych rzą-
dów. Ogłaszała ona spra-
wowania ze wszystkich
swych posiedzeń i komu-
nikowała o wszystkich
swych czynnościach, wta-
jemniczyła publiczność we
wszystkie swe braki. (Ka-
rol Marks — „Wojna do-
mowa we Francji”).

Sprawa jawności życia go-
spodarczego pojawia się
coraz częściej na łamach
naszych pism. Opinia pu-
bliczna domaga się coraz
pełniejszego rozszerzenia ra-
m informacji gospodarczej. W dekla-
racji „Nasze stanowisko” sformu-
łowano postulat pełnej jawności
życia gospodarczego. Postulat ten
znalazł również wyraz we wnio-
skach Zjazdu Ekonomistów. Poni-
żej chciałem uzasadnić ekono-
miczną i społeczną konieczność peł-
nej jawności życia gospodarczego
oraz wskazać na drogi realizacji
tej zasady.

W ustroju kapitalistycznym —
jak wiadomo — istnieje szeroka
jawność życia gospodarczego. Bur-
żuazyjna statystyka informuje dość
szczegółowo o każdej dziedzinie
gospodarki. Dane statystyczne są
niezbędne kapitalistom do ich
działalności gospodarczej. W wa-
runkach żywiłowej gospodarki
statystyka umożliwia pewną orien-
tację w przebiegu procesów go-
spodarczych, daje wskazania co do
kierunków produkcji, możliwości
zbytu itd.

Jednak w ustroju kapitalistycz-
nym nie może istnieć pełna jaw-
ność życia gospodarczego. Wynika
to ze sprzeczności między bur-
żuazją a proletariatem, ze sprze-
czności interesów tych dwóch klas,
oraz ze sprzeczności pomiędzy po-
szczególnymi grupami burżuazji.
Kapitałiści są zainteresowani w
ukrywaniu szeregu danych przed
opiniami publiczną. Chodzi tu w
pierwszym rzędzie o rozmiary
zysków, obrotów przedsiębiorstw,
o szereg danych dotyczących po-
łożenia mas pracujących itd. Ma-

teriały te, jeżeli są publikowane,
z reguły nie odpowiadają rzeczy-
wistości; wysokość ujawnionych
zysków jest niższa od faktycznych
rozmiarów, wskaźnik płac real-
nych upiększa położenie mas.

W ustroju socjalistycznym, gdzie
nie istnieją antagonizmy klaso-
we, gdzie władza jest w rękach lu-
du — nie ma społecznych pod-
staw do ukrywania materiałów
obrazujących sytuację gospodarczą
kraju. Rządząca klasa robotnicza
współ z chłopstwem pracującym
nie może być zainteresowana w
ukrywaniu danych statystycznych
i innych materiałów z dziedziny
życia gospodarczego przed — sa-
mym sobą! Z istoty naszego ustroju
wynika więc możliwość i koniecz-
ność pełnej jawności życia gospo-
darczego. Jest ona niezbędnym wa-
runkiem prawidłowego funkcyjono-
wania i rozwoju gospodarki so-
cjalistycznej.

W ustroju socjalistycznym wła-
ścicielami środków produkcji a za-
razem producentami są ludzie pra-
cy. Chociaż więc państwo socja-
listyczne jest bezpośrednim dyspo-
nentem środków produkcji i kie-
rownikiem produkcji — w istocie
kierownictwo to może osiągnąć wła-
ściwe rezultaty tylko wtedy, gdy
masy producentów współwłaści-
cieli będą wpływały bezpośrednio
na kierunki produkcji, będą de-
cydowały o produkcji.

Aby masy pracujące mogły fak-
tycznie rządzić, kierować produk-
cją kraju, brać udział w podejmowa-
niu decyzji gospodarczych —
muszą mieć materiały statystycz-
ne, muszą znać stan swojej gospo-
darki, której są kolektywnym wła-
ścicielem. (Oczywiście nie jest to
jeden warunek niezbędny dla
zapewnienia udziału mas w kie-
rowaniu gospodarką kraju).

Jawność życia gospodarczego u-
możliwia nie tylko udział mas w
kierowaniu produkcją, lecz także
zapewnia ich kontrolę nad dzia-
łalnością państwowych organów
wykonawczych. Jedno i drugie
jest szczególnie ważne dlatego, że
w warunkach gospodarki plano-
wej nie ma mechanizmu, który by

automatycznie korygował błędy w
posunięciach gospodarczych! Ka-
żda błędna decyzja centralnych in-
stytucji gospodarczych odbija się
długo i dotkliwie na położeniu mas
pracujących.

Ludzie pracy są jak najbardziej
zainteresowani w wykrywaniu
wszelkich braków i niedomagań
w ekonomice kraju socjalistyczne-
go. Masom nie jest potrzebne
ukrywanie ich faktycznego po-
ziomu — stopy życiowej, maskowa-
nie marnotrawstwa, nieprzemysła-
nych inwestycji itd. Wręcz prze-
ciwnie. Są one najgłębiej zainte-
rowane, by o sprawach tych mó-
wić głośno, by do wiadomości pu-
blicznej podawano wyczerpujące
materiały na te tematy, gdyż tyl-
ko ich przedyskutowanie pozwoli
wykryć źródła niedomagań i wska-
zać drogi ich usunięcia.

Jawność życia gospodarczego jest
również niezbędna, aby właściwie
ułożyć stosunki między klasą ro-
botniczą i chłopstwem pracują-
cym. W interesie obu klas, umac-
niania ich sojuszu leży, aby wie-
domo było np. ile miasto daje wsi
i wies dla miasta.

Wreszcie jawność życia gospo-
darczego jest jednym z podstawo-
wych warunków rozwoju nauk
ekonomicznych, bez których nie
można po gospodarsku kierować
produkcją społeczną. Ustrój
kapitalistyczny może funkcjonować
i bez wskazań nauki. Żywiłowo
działające prawa ekonomiczne,
praktyka działalności gospodarczej
zmusza kapitalistów do jak naj-
lepszego gospodarowania, osiąga-
nego przede wszystkim drogą wzro-

stu wyzysku ludzi pracy. W ustro-
ju socjalistycznym, gdzie celem
produkcji jest człowiek i jego po-
trzeby, gdzie nie działają żywił-
owo prawa ekonomiczne, wzrasta
niepomierne rola nauk ekono-
micznych, które w oparciu o gło-
bokie badania zjawisk życia gospo-
darczego, dostarczają naukowych
podstaw do kierowania produk-
cją. Właściwe planowanie może
się dokonywać tylko w oparciu o
analizę ekonomiczną, o wszech-
stronnie stosowany rachunek ekono-
miczny. Utopią byłoby sądzić,
że sprawa ta należy jedynie do
kompetencji działaczy gospodar-
czych. Badania ekonomiczne wy-
magają dużego nakładu pracy,
kierownicy naszego życia gospo-
darczego zaś nie mają po prostu
tyle czasu, by przeznaczyć go na
głębokie studia naukowe nad ekono-
mika socjalistyczną.

Wiadomo, że do niedawnych
czasów znajomość życia gospodar-
czego ograniczona była w zasadzie
do kręgu odpowiedzialnych dzia-
łaczy życia gospodarczego i poli-
tycznego. Cała dziedzina gospo-
darki uznana została za tabu. Ma-
teriały statystyczne i inne opie-
czowano, stemplami „ściśle taj-
ne”, „bardzo tajne”, „w najlepszym za-
razie — „tylko do użytku służ-
bowego”. Opinia publiczna znała
stan gospodarki jedynie z prze-
mówień przywódców, lakonicznych
komunikatów o wykonaniu planu
oraz z własnych obserwacji.

dokonczenie
NA STRONIE 8

W XV rocznicę śmierci Ludwika Krzywickiego



W czerwcu br. minęła XV rocznica śmierci Ludwika Krzywickiego —
wybitnego socjologa, ekonomisty i etnologa, tłumacza i redaktora I to-
mu „Kapitału” i innych prac klasyków marksizmu, nieustraszonego
popularyzatora marksistowskiej myśli społecznej, znakomitego krytyka
kapitalizmu i ekonomii wulgarnych, autora „Kwestii rolnej”, „Ustro-
jów społeczno-gospodarczych w okresie dzikości i barbarzyństwa”, dy-
rektora Instytutu Gospodarstwa Społecznego.

W celu uczczenia pamięci, podkreślenia dorobku naukowego oraz
wpływu na rozwój polskiej myśli ekonomicznej Ludwika Krzywickiego
II Zjazd Ekonomistów w 15 rocznicę śmierci wielkiego uczonego podjął
następującą uchwałę:

1. Zobowiązać Państwowe Wydawnictwo Naukowe do wydania w naj-
bliższym czasie monografii o życiu i działalności naukowej, wyboru prac
ekonomicznych, a następnie całej spuścizny naukowej Ludwika Krzy-
wickiego.
2. Zwrócić się do władz o przemianowanie Szkoły Głównej Planowania
i Statystyki, dawnej Szkoły Głównej Handlowej, w której uczony pra-
cował, na Szkołę Główną Ekonomiczną im. Ludwika Krzywickiego.

HERYK FRANCZY, ZBIGNIEW MADEJ

Trzy dni w sali Pod Kopułą

W komunikatach prasy i radia
o przygotowaniach do II Zjazdu
ekonomistów polskich, w rela-
cjach prasowych z przebiegu
zjazdu nader często podkreślano,
że zjazd cieszy się wielkim zain-
teresowaniem całego społeczeń-

stwa. To zainteresowanie zjazdem
będzie wyrazem troski społecz-
stwa o rozwój nauki ekonomicz-
nej, o zapewnienie należnego jej
miejscu w naszym życiu społecz-
no-gospodarczym, będzie przypom-
inało wszystkim uczestnikom

zjazdu o ich odpowiedzialność
przed narodem, o ich szacunku
rol w budowie socjalizmu.

Stąd też dziwnym i niezrozu-
miałym jest fakt, niedoceniania
zjazdu przez kierownictwo gospo-
darcze.

Naszym zdaniem jest to zjawis-
ko nie tylko dziwne, ale wręcz
niepokojące. Niepokój ten jest
tym większy, że również w nieo-
ficyjnym, tzn. prywatnym wy-
stąpieniu min. Dietricha przewi-
jały się akcenty niedoceniania ro-
li teorii oraz potrzeby szeroko
zakrojonych naukowych badań
ekonomicznych. Cena, jaką gos-
podarka narodowa płaciła i płaci
za brak naukowych metod kie-
rowania gospodarką, za sprzecz-
nie zadań naukowców do roli in-
terpretatorów, uzasadniających
służność wszelkich posunięć i
decyzji gospodarczych bez wzglę-
du na ich merytoryczną słuszność,
była i jest zbyt wysoka, by spra-
wy te mogły być dla nas obojęt-
ne.

Nie przypadkowo też tak wyso-
ka temperatura towarzyszyła tej
części wystąpień, które dotyczyły
oceny stanu nauk ekonomicznych
i przyczyn przeżywanego przez
nie kryzysu. Ostrość polemiki
wokół tego zagadnienia jest uza-
sadniona i tym, że tylko na grun-
cie prawidłowego rozważania sy-
tuacji możliwe było postawienie
trafnej diagnozy i ustalenie wła-
ściwej terapii. O atmosferze dy-
skusji wokół tego zagadnienia
zadekowały naszym zdaniem
dwie okoliczności:

po pierwsze fakt, że referat
prof. Langego w sposób niedostę-
pny zobrazował rzeczywisty
stan nauk ekonomicznych i co
gorsze, w referacie przeważały
akcenty nieuzasadnionego opty-
mizmu w ocenie minionego okre-
su. Optimizm ten znalazł między
innymi wyraz w wyolbrzymieniu
oceny procesów ilościowego ro-
zwoju sieci szkolnictwa, czasopiś-
miennictwa, nakładów, książek
itp. bez dostatecznej krytycznej

UCHWAŁA ZJAZDU EKONOMISTÓW POLSKICH

I. Założenia ogólne

Naród nasz szczył się wielki-
mi osiągnięciami rewolucji socja-
listycznej. Opierając się na podsta-
wowych założeniach marksistows-
kiej ekonomii politycznej, odbu-
dowaliśmy kraj ze zniszczeń wo-
jennych, odnieśliśmy poważne su-
kcesy w industrializacji kraju,
wskroczyliśmy na drogę socja-
listycznej przebudowy wsi, dokonali-
śmy głębokich przemian społecz-
nych i kulturalnych.

Niemniej w gospodarce naszej
występuje szereg niedomagań i
braków, które w poważnym stop-
niu utrudniają i hamują nasz ro-
zwoj. W tej sytuacji palącą stała
się potrzeba opracowania radyka-
lnego programu przezwyciężenia
słabości i niedomagań naszej go-
spodarki. Program ten może być
opracowany jedynie na podstawie
marksistowskiej analizy rzeczywi-
stości. Dokonanie jej jest podsta-
wowym zadaniem polskiej nauki
ekonomicznej.

Niezbędnym warunkiem rozwoju
każdej nauki jest atmosfera
dyskusji. Należy więc w ekonomii
politycznej przywrócić w pełni
i zabezpieczyć swobodę dyskusji
naukowej i ścierania się poglą-
dów. Warunkiem istnienia praw-
dziwych dyskusji jest swoboda
badań naukowych i głoszenia ich
wyników. Istotne znaczenie dla
rozwoju marksistowskich nauk

ekonomicznych ma współpraca z
postępowymi uczonymi całego
świata. Szczególną wagę ma dla
nas rozwijanie i dalsze umacnia-
nie opartej na obustronnej wy-
mianie osiągnięć naukowych wię-
zi z nauką radziecką oraz nauką
krajów demokracji ludowej.

Bez najściślejszej współpracy
ekonomistów obozu socjalizmu,
bez wzajemnej krytyki dorobku
naukowego, nie mogą rozwijać się
nauki ekonomiczne, zwłaszcza ekono-
mia polityczna socjalizmu.

Apologetyczny charakter więk-
szości prac ekonomistów burżu-
azyjnych nie wyklucza możliwości
wszechstronnej wymiany myśli
i wykorzystania niektórych ich
osiągnięć i doświadczeń. Rozwija-
jąc nieustępliwą, marksistowską
krytykę poglądów błędnych i apo-
logetycznych — należy dążyć do
nawiązania kontaktu z produk-
cjami ośrodkami naukowymi i na-
ukowcami w krajach kapitali-
stycznych — kontaktów, których
całkowity niemal brak odczuwa-
liśmy dotychczas.

II. Sprawy nauk ekonomicznych
Zjazd Ekonomistów Polskich wy-
powiada się za:

1. Upowszechnieniem możliwości
badań naukowych dla szerokiego
kół ekonomistów, w szczególności
przez udostępnienie im materia-
łów statystycznych oraz zapewne-

nie im możliwości publikacji wy-
ników badań;

2. Najszerszą jawnością życia
gospodarczego, stanowiącą m. in.
warunek rozwoju nauk ekono-
micznych. Jawność ta wymaga
szerokiej informacji gospodarczej,
w tym dostarczania odpowiednich
materiałów statystycznych, a w
szczególności:

a) wydawania pogłębiłonego i
poszerzonego w treści rocznika
statystycznego;

b) regularnego wydawania pe-
riodycznych publikacji staty-
stycznych, obrazujących wszech-
stronnie położenie gospodarcze
kraju;

c) wydawanie regionalnych biu-
letynów statystycznych dla do-
starczania należytego materiału
terenowym władzom, placówkom
gospodarczym i naukowym;

3. Prawidłowym terenowym roz-
mieszczeniem wszelkiego rodzaju
instytucji społecznych, towarzyszą-
cych naukowym, wydawnictw, władz
i organizacji gospodarczych, kul-
turalnych i innych, w celu umożli-
wienia rozwoju życia naukowego
i gospodarczego całego kraju;

4. Reorganizacją polityki wy-
dawniczej w kierunku decentrali-
zacji wydawnictw oraz za odebra-
niem przedsiębiorstwom wydaw-
niczym uprawnień faktycznego,
nadzoru nadzoru autorskiego;

5. Rozszerzeniem działalności
POLSKIEGO TOWARZYSTWA
EKONOMICZNEGO w kierunku:

a) rozwijania wymiany myśli
i doświadczeń pomiędzy pracow-
nikami nauki i działaczami gos-
podarczymi;

b) podnoszenie kwalifikacji za-
wodowych i poziomu wiedzy ekono-
micznej;

c) analizowania sytuacji gos-
podarczej, opracowywania uwag i
opinii oraz przekazywania ich
właściwym władzom i instytu-
cjom;

d) utrzymywania kontaktów i
współpracy z pokrewnymi orga-
nizacjami w kraju i za granicą;

e) inicjowania, organizowania
i prowadzenia działalności wy-
dawniczej;

f) reprezentowania w kraju i za
granicą polskich ekonomistów.

6. Prawidłowym określeniem
przedmiotu ekonomii politycznej,
planowania gospodarki narodowej,
ekonomii szczegółowych i innych
przedmiotów ekonomicznych oraz
ustaleniem ich wzajemnego po-
wiązania;

7. Jak najszybszym powołaniem
do życia INSTYTUTU NAUK
EKONOMICZNYCH z oddziałami
w głównych ośrodkach naukowych
i gospodarczych kraju.

III. Sprawy polityki gospodarczej

1. W ubiegłym okresie popo-
pelnione zostały w gospodarce nasze-
go kraju poważne błędy, opóźnia-

jące postępowanie gospodarcze. Dotyczy
to zwłaszcza metod kierowania
i zarządzania gospodarką, które
wymagają nie poprawek stanu
istniejącego, a zmian głębokich
i zasadniczych, zmieniających do
pełnej demokratyzacji życia go-
spodarczego, opartych na założe-
niach naukowych.

Dlatego Zjazd Ekonomistów
Polskich zwraca się do Prezesa
Rady Ministrów z wnioskiem o
powołanie ogólnopolskiej SPO-
ŁECZNEJ KOMISJI ANKIETO-
WEJ, składającej się z pracow-
ników nauki oraz praktyków, do-
branych w sposób, zapewniający
pełną niezależność badań stanu
gospodarki narodowej i ustalenia
środków jej poprawy.

SPOŁECZNA KOMISJA ANKIE-
TOWA winna po zakończeniu
swych prac przedstawić ich wy-
niki społeczeństwu do jak najsz-
erszej dyskusji.

2. Celem zapewnienia fachowej
oceny podstawowych aktów i de-
cyzji gospodarczych, Zjazd wnosi
o powołanie przy Prezesa Rady
Ministrów PRL — RADY EKO-
NOMICZNEJ, złożonej z najwy-
bitniejszych przedstawicieli nauki
i praktyki, której zadaniem bę-
dzie fachowa ocena wyżej wymie-
nionych podstawowych aktów i
decyzji gospodarczych, zgłasza-
nie z własnej inicjatywy uwag
i wniosków oraz komunikowanie
ich władzom centralnym Państwa,

dokonczenie
NA STRONIE 2

KRONIKA gospodarcza

dokonczenie ➔ **3**

PRZECIWKO TECHNOKRACJI

EUGENIUSZ RYCHLEWSKI

W wielkim dziele budowy nowego, lepszego, jutra w naszym kraju bierze udział całe społeczeństwo, w tym również inteligencja. Marksizm szczególnie donosił rolę wyznacza w tym zakresie inteligencji technicznej. Wynika to z tezy materializmu historycznego o decydującej roli narzędzi pracy w rozwoju społecznym. A doskonałe narzędzie pracy, konstrukcja nowych maszyn i urządzeń, nadzór nad procesem technologicznym ich wytworzenia — to przecież zadanie techników.

Za tą słuszną tezę, która ma duże znaczenie dla rozwoju gospodarczego, poszła i praktyka społeczna. Inteligencja techniczna zajęła poczesne miejsce w nowym społeczeństwie, zapewniono jej relatywnie lepsze warunki materialne, dba się wreszcie o jej szybki przyrost ilościowy poprzez budowę wyższych szkół technicznych.

Trzeba jednak pamiętać o tym, że zbudowanie komunizmu w naszym kraju — to nie tylko zagadnienie techniczne, ale również ekonomiczne. Komunizm, jak wiemy, ma cechować pełne zaspokojenie przynajmniej podstawowych potrzeb społeczeństwa. Aby osiągnąć taką obfitość produkcji — a w szczególności w stosunkowo krótkim czasie — trzeba umiejętnie rozwijać gospodarkę narodową, osiągać zamierzone efekty najmniejszym nakładem, a z każdego użytego nakładu uzyskać maksimum korzyści. Jednym słowem, trzeba dobrze gospodarować, dobrze kierować gospodarką narodową. To jest właśnie odpowiedzialne zadanie inteligencji ekonomicznej. Rola inteligencji ekonomicznej szczególnie powinna wzrosnąć u nas w porównaniu z okresem międzywojennym. Wynika to z tego, że gospodarka planowa jest daleko bardziej skomplikowana „maszynaria”, aniżeli gospodarka wolnokonkurencyjna i do jej obsługi trzeba wyższych kwalifikacji, podobnie jak koparka wymaga bardziej wykwalifikowanej obsługi aniżeli łopata.

Jeżeli jednak rozglądnijemy się wokół, to inteligencję ekonomiczną w życiu gospodarczym prawie że nie dostrzeżemy. Zarówno przedsiębiorstwami, jak i wyższymi organizmami gospodarczymi z reguły nie kierunkują. Mało tego, rola inteligencji ekonomicznej nie tylko nie wzrosła w porównaniu z okresem międzywojennym, ale wyraźnie spadła. Nastąpiła deprecjacja zawodu ekonomicznego.

Niedopuszczenie inteligencji ekonomicznej do wykonywania funkcji, do których jest predestynowana, dokonano jej arbitralnie i bez jej winy. Niewątpliwie pozostało to w ścisłym związku z rewizją też burżuazyjnej nauki. Z procesu dwuznacznego przewartościowania nauk zarówno przyrodniczych, jak i społecznych, najbardziej obronna ręka wyszła wiedza techniczna. Z tych to powodów i biorąc pod uwagę słuszną zasadę doceniania podstawowych funkcji inteligencji technicznej, umożliwiono technikom coraz szersze przejmowanie funkcji ekonomicznych. Wreszcie, odsunięcie inteligencji ekonomicznej od gospodarki ułatwiało dość złożoną weryfikację tej nauki ekonomicznej. Skutki naruszenia praw ekonomicznych nie są tak namacalne, jak na przykład zawałenie domu. Nie są również tak bezpośrednio i występują dopiero po upływie pewnego okresu czasu. A to na pewno nie utrudnia wykonywania funkcji ekonomicznych bez rzeczywistego wykształcenia ekonomicznego, tak jak to ma miejsce na przykład w zawodzie lekarza. To odsunięcie inteligencji ekonomicznej tłumaczy niektórzy „brakorobstwem” szkół ekonomicznych. Diagnoza fałszywa, bo niski w swej masie poziom absolwentów obserwujemy nie tylko na kierunkach ekonomicznych, a nie doprowadziło to na przykład do deprecjacji zawodów technicznych.

Przyczyny nie można również upatrywać w upadku nauki ekonomicznej w ostatnim okresie, czy w dogmatyzmie. Po pierwsze dlatego, że dogmatyzm dotknął również niektóre nauki przyrodnicze, a po wtóre zjawisko, o którym mowa, nabiera znaczenia dopiero około roku 1950, to jest w okresie, w którym można było już zaobserwować zdecydowaną supremację inteligencji technicznej w życiu gospodarczym.

Proces technokratyzacji życia gospodarczego daleko pogłębia się. Powstają dodatkowe tego przyczyny. Mianowicie ekonomista w życiu gospodarczym operuje innym słownikiem i interesuje się inną problematyką, niż inteligencja techniczna. Inny jest również tok jego myślenia i sposób dowodzenia i dlatego ma on ograniczone możliwości porozumienia się z technikiem. Czyż można się więc dziwić, że ekonomista jest majoryzowany przez techników, zarówno z uwagi na ich liczebność, jak i rodzaj zajmowanych stanowisk. Wreszcie po pewnym okresie, wyjątkowo aktywny, rzutki i inteligentny ekonomista może wywalczyć sobie odpowiednie stanowisko, ale przeciwny en masse przedstawiciel inteligencji ekonomicznej z biegiem czasu przestaje wierzyc w siebie i uznaje swoją nietachowność. A społeczeństwo zaczyna oceniać wartość wykształcenia na podstawie obserwacji praktyki, która zdaje się przekonywać, że z zagadnieniami ekonomicznymi można jednak „jakos” dać sobie radę bez specjalnego wykształcenia, bo „nic się nie wali”. Stąd automatyczny podział pracowników umysłowych życia gospodarczego na fachowców, to jest techników, i na całą resztę niefachowców, których nazywa się administracją. Z reguły zapomina się przy tym, że do administracji należy w dokładnie tym samym stopniu zarówno kierownik działu technicznego, jak i kierownik działu planowania, główny inżynier i główny księgowy.

Opinia społeczeństwa kształtuje opinię młodego pokolenia. Czyż można więc się dziwić, że na studia ekonomiczne na ogół decyduje się mniej zdolna młodzież? A to oczywiście nie jest bez wpływu na przyszłą pozycję inteligencji ekonomicznej. I tak koło deprecjacji zawodu ekonomicznego zamyka się.

Sytuacja ta miała znaczenie również i dla nauki ekonomicznej. Ludzie bowiem rosną i w praktyce życia gospodarczego. Część z nich zasila kadry naukowe. A szczególne znaczenie miało to w okresie zupełnego utajenia życia gospodarczego, wskutek czego nauka ekonomiczna, pozbawiona swego „laboratorium” (bo nie ma laboratoryjnych sił wytwórczych i stosunków produkcyjnych) — usychała.

NIEKTÓRE FAŁSZYWE WYOBRAŻENIA I ICH SKUTKI

Spółeczeństwo na ogół ma spaczony pogląd na problematykę nauk ekonomicznych. Choć wygląda to na paradoks, to jednak depopularyzacja nauk ekonomicznych wynikała w dużym stopniu z jej popularyzacji. Przeciętny obywatel pogląd swój opiera na własnych doświadczeniach i wyniesionych z rozmaitych szkoleń. Doświadczenia zaś są tego rodzaju, iż na ogół uważa siebie za wybitnego specjalistę w dziedzinie ekonomii, albo ma dość sceptyczny

pogląd na naukowość ekonomii politycznej. Najczęściej zapomina przy tym, że — jak kiedyś w szkole podstawowej — na szkoleniu uczył się dopiero tego, że nie można większej liczby odjąć od mniejszej, a nie doszedł jeszcze do tej klasy, w której wyjaśniono, że liczbę większą można od mniejszej odjąć, co zresztą też nie jest jeszcze najwyższą emanacją myśli. W najlepszym razie ułóża alfabet z nauką, albo oktawą tonów z symfonią.

A stąd już tylko krok do przekonania, że najlepszym ekonomistą jest pierwszy sekretarz POP, naczelny inżynier, architekt, czy chemik. Ba, są nawet wyraźne takie stwierdzenia na łamach prasy zarówno codziennej, jak i tzw. fachowej. Pomijamy już satyryczną wymowę takich stwierdzeń, ale jakże często można spotkać się z nawet dobrym, powiedzmy mechanikiem, który skłgając się po powierzchni zagadnień ekonomicznych, przekonany jest, że zajmuje się głębokimi problemami ekonomicznymi. Z nieodpartą siłą nasuwa się tutaj parafrasa Sancho Panszy z „Don Kiszota”, który podrzucany na derze w oberży, przekonany był, że jest bliski wniebowstąpienia, a którego przegody przy innej okazji przypomniał niedawno Józef Chalasiński (Przegląd Kulturalny Nr 5/56).

Jak silne są te fałszywe wyobrażenia, o tym świadczyć może również następujący drobny faktik.

Na Krajowej Naradzie Budownictwa, która odbyła się niedawno, docent Instytutu Techniki Budowlanej, inż. P. opowiedział następującą ciekawą historię. PKPG wydało zarządzenie o stosowaniu w fundamentach kamienia zamiast cementu, aby ten ostatni materiał zaoszczędzić. Jest to według opowiadającego — nonsens. A kiedy stwierdził — ciągnął dalej inż. P. — że takie zarządzenie mógł wydać chyba tylko prawnik, koledy odpowiedzieli mu, że to nieprawda, bo zarządzenie sponadził... student SGPS-u. Sala zareagowała śmiechem. Ale prawdziwy humor tej dyktoryjki polega na tym, że w rzeczywistości zarządzenie to wydał... inżynier.

Inny przykład. Krytykujemy często lekarzy, a ostatnio bardzo często architektów. Przypomina się przy tej okazji frazaskę Kochanowskiego dla „udowodnienia”, że najwięcej jest na świecie lekarzy albo architektów. Krytykujemy również kierujących naszą gospodarką. Jest jednak różnica między pierwszymi, a drugimi. Po pierwsze dlatego, że leczenie albo projektowanie pozostawiamy zawsze lekarzowi albo architektowi, a po drugie nikt z krytykujących nie uważa siebie za lekarza czy architekta, prawie każdy natomiast uważa, że z gospodarką poradziłby sobie, gdyby został na przykład Przewodniczącym PKPG.

Przebieg w szerokim zakresie funkcji ekonomicznych przez inte-

ligencję techniczną szkodzi zarówno gospodarce, jak i technice. O tym, że brak jest inteligencji technicznej na budowach i w warsztatach fabryk, w biurach konstrukcyjnych i POM widać już nawet gazety. Nie brak jej natomiast w ministerstwach, centralnych zarządach, administracji przedsiębiorstw i w... PKPG. Ewolucja tego procesu, o której będzie jeszcze mowa niżej, ma zresztą znaczenie ogólniejsze, doprowadziła bowiem do swistego kultu niekompetencji. Znam wypadek, że inżynier-agnonm prowadził w przedsiębiorstwie budowlanym dział planowania, a w PGR plastyk był agrotechnikem. Departament Handlu PKPG prowadził w swoim czasie... filolog i inżynier. Dlatego nie ma racji Putramenta każąc w swoim artykule (Przegląd Kulturalny Nr 14/56) „wielkim ekonomistom ze znanego gmachu przy znanym placu” wypić piwo, które oni nawarzyli. Pomylił adres. Jeszcze raz dopelnia się przysłowie „cygan zawił, kowala powiesił”.

Krytykuje się u nas ostatnio nadmierną szczegółowość planowania. Nikt jednak nie tłumaczy skąd się ona wzięła. Bo tłumaczenie Putramenta, że kiszono ogórki i zajęcie przypłydy w narodowym planie gospodarczym (jako curiosum określił to zresztą ekonomista, a nie Putrament) wynikały z sumienności pracowników „znanego gmachu przy znanym placu”, którzy chcieli coś zrobić, a nie mieli nic innego do roboty, jest taką samą prawdą jak to, że ja jestem astronomem. I tłumaczenie takie nie może chyba zadławić nawet poetów. O nie, obywatelu Putrament, pracownicy ci mieli co innego do roboty, woleli jednak, albo musieli zajmować się kiszonymi ogórkami.

Nasze życie gospodarcze jest oprowadane przez technokratów, którzy nie tylko nie znają problematyki gospodarczej (to znaczy nie wiedzą w ogóle, że pewne problemy istnieją), ale nawet nie mają ambicji poznania tych zagadnień. Ambicją ich jest znajomość zagadnień procesu technologicznego. I w tym się oni wyżywają. A ponieważ proces technologiczny dokonuje się tylko w wytwórniach, dlatego wkraczają oni z wysokich progów różnych ministerstw i innych organów centralnych oświadczać i w formie zarządzeń, okólników i pism w życie zakładów produkcyjnych, ingerując w najmniejszych szczegółach. Zajmują się stosowaniem kamienia zamiast cementu w fundamentach, zajęczy mi przypłydy i kiszonymi ogórkami.

Umysł technika jest z natury rzeczy analityczny, drobiazgowy. Technik nie może przecież zapomnieć o żadnej śrubce, bo inaczej maszyna nie będzie funkcjonować. W tym „pionowym” zapatrzeniu za-

*) Pomijam tutaj, że zresztą jest to na pewno sprawa znanych gmachów przy znanych placach i ulicach, a nie tylko sprawa „znanego gmachu przy znanym placu”.

pomina spojrzeć „poziomo” na całą gospodarkę i szerzej na nasze miejsce w gospodarce światowej. Ekonomista natomiast nie interesuje go szczegóły. Umysł jego jest umyślnie syntetyczny, a do analizy schodzi po to, aby uzyskać prawidłową syntezę.

Przedstawiam tutaj sytuację nie prowadzi oczywiście do dobrych wyników. Czy wiesz czytelniku, że buduje się u nas fabryki z nowocześnie importowanymi urządzeniami, które produkować będą znacznie drożej niż stare fabryki? I że dokumentacja inwestycyjna tych fabryk została zatwierdzona przez technokratyczne komisje oceny projektów inwestycyjnych?

Czy wiesz, że dyrektor departamentu inwestycji jednego z ministerstw przemysłowych (oczywiście techniki) podpisał pismo zawiadujące podległego inwestora i podległe biuro projektów o tym, że inwestor nie zapłaci biura projektów za zamówioną i wykonaną dokumentację, ponieważ otrzymał na dokumentację zagraniczną? I to wszystko w imię zaled rozrachunku gospodarczego.

Technokracja szkodzi jednak nie tylko gospodarce, ale również technice. (Technokracja należy w ogóle odróżniać od techniki, a techników od technokratów). Inteligencja techniczna wyższych szczebli jest przecież znacznie słabsza, aniżeli niższych szczebli. Dobry, albo bardzo dobry technik na ogół nie porzuca biura konstrukcyjnego, projektowego czy wytwórni, bo to jego chleb powszedni. Obaj zajmują się sprawami techniki. Ponieważ jednak pozycja pierwszego jest znacznie mocniejsza, to czyż można się dziwić, że nie wchodzi to technice na zdrowie?

O WYKSZTAŁCENIU FORMALNYM I FAKTYCZNYM

Zdaje sobie przy tym doskonale sprawę, że wykształcenie formalne (dyplom) nie jest równoznaczne z wykształceniem faktycznym (rzeczywiście nabytą wiedzą). Pamiętam, że ani Ricardo, ani Marks nie studiowali na wydziałach ekonomicznych, Edison nie skończył politechniki, a Einsteina nikt nie uczył teorii względności. W życiu często spotkać można ludzi, którzy mają bogate wiadomości niezwiązane z ich kierunkiem studiów. Znam geografa — dobrego muzyka, ekonomistę, nienajlepszego kierownika budowy i inżynierów, z których jeden zbudował we mnie zażdrość do brą znajomością historii gospodarczej, a drugi — teorii lokalizacji.

Zo więc nie leży w tym, że są technicy na stanowiskach ekonomicznych, ale w tym, że są oni często analfabetami ekonomicznymi.

Nie chodzi też o to, aby którymś z koleż zarządzeniem zabronić obsadzania stanowisk ekonomicznych pracownikami z dyplomem technicznym. Sprawy nie formalizuje, chociaż na ogół ślusarz zna się na ślusarstwie, a stolarz na stolar-

stwie. Domagam się tylko, aby znajomość, a często i pseudo-znajomość zagadnień technicznych, wreszcie przestała być argumentem przemawiającym „pro” przy obsadzaniu stanowisk ekonomicznych. Takim argumentem może być tylko rzeczywista znajomość zagadnień ekonomicznych. Oczywiście dyplom ekonomiczny, szczególnie świeży, również nie jest sprawdzianem takich wiadomości.

Irytacja ogarnia człowieka jak pomyśli, że pojedynczy człowiek — dbając o jego zdrowie — chronimy przed znochozami. Wciąż jednak jeszcze tolerujemy znochozstwo w naszym życiu gospodarczym. A chyba nikt nie ma wątpliwości, że od wyników naszej gospodarki w głównej mierze zależy dobrobyt, a więc i zdrowie całego społeczeństwa — milionów ludzi.

Jeszcze jedna sprawa wymaga wyjaśnienia. Często można spotkać się z poglądem, że każdy technik w swej pracy musi się zajmować zagadnieniami ekonomicznymi i dlatego niesłuszne jest dzielenie pewnych grup pracowników na techników i ekonomistów, ponieważ prowadzi to nie do współpracy, a do konfliktu między tymi zawodami.

Oczywiście, nie ma wątpliwości, że technik ma prawo i obowiązek zajmować się zagadnieniami ekonomicznymi, jakie występują w jego pracy zawodowej. I zapewne nie wątpliwości, czy szerszego udziału ekonomistów w życiu gospodarczym nie może technikom ani odebrać tego prawa ani pozbawić ich tego obowiązku. Ale przecież tak szeroko pojętymi „problemami” ekonomicznymi zajmuje się każdy człowiek. I pamił Malinowska, prowadząc gospodarstwo domowe, i robotnik budowlany, dając na przykład do najmniejszej ilości słuszczy: cegły przy jej rozładunku. Nikt jednak nie myśli wymagać od robotnika budowlanego okazania... dyplomu ekonomicznego.

A więc istnieją problemy i problemiki. Innymi słowy, każdy przeciętny śmiertelnik bez ukończenia politechniki, da sobie radę z wbiciem gwoździ w ścianę, czy z wybudowaniem altany w ogrodzie, chociaż są to „problemy” techniczne. Nikt jednak bez specjalnego przygotowania nie podjąłby się na przykład wykonania obliczeń statycznych hali fabrycznej.

Są więc problemy i problemiki. Problemami z prawdziwego zdarzenia powinni się jednak zajmować fachowcy. Takimi problemami ekonomicznymi, których prawidłowe rozwiązanie wymaga stosowania metod wypracowanych przez nauki ekonomiczne, powinni zajmować się jedynie ekonomiści, posiadający rzeczywiste wykształcenie ekonomiczne.

To prawda, że technicy zawsze zajmowali się nawet problemami

dokonczenie **4**
NA STRONIE

Z dyskusji Zjazdu Ekonomistów

Spółeczna Komisja Ankietowa

Wysunięte przeze mnie na Zjeździe Ekonomistów i przyjęty w uchwale projekt powołania Społecznej Komisji Ankietowej nie powstał w sposób przypadkowy. Ukształtował się on po dłuższych dyskusjach w gronie ekonomistów wrocławskich, był również skonfrontowany z szerszą opinią fachowców na rozszerzonym posiedzeniu Zarządu Głównego PTE.

Jakie odbyło się kilka tygodni przed Zjazdem. Wszędzie spotkał się on z aprobatą, a nawet entuzjazmem, chociaż nie brakło również głosów niedowierzania w jego realność ze względu na spodziewane opory ze strony biurokratyzowanego aparatu administracji gospodarczej.

Obserwacje doprowadziły mnie z jednej strony do wniosku, że nie da się radykalnie usprawnić systemu gospodarowania bez wypracowania kompleksowego, obejmującego wszystkie dziedziny życia gospodarczego, śmiałego programu. Z drugiej strony, coraz bardziej umacniałem się w przekonaniu, że wypracowanie takiego programu nie jest możliwe bez dogłębnej, naukowej analizy całokształtu naszej gospodarki i że takiej analizie nie są w stanie przeprowadzić żadne z istniejących resortowych czy centralnych organów naszej gospodarki, jak też działające obecnie instytuty i zakłady naukowo-badawcze.

Zastępowała je w tym względzie, zresztą z dużym powodzeniem i akceptacją całej opinii społecznej, prasa, zarówno codzienna, jak i periodyczna, zastępowali je liczni dyskutanci na wszelkiego rodzaju naradach, wielkich i małych, od sesji sejmowej począwszy, a na prywatnych rozmowach skończywszy. Stąd bowiem, a nie od kierownictwa naszej gospodarki, płynęły alarmujące informacje o licznych i rozrzuconych po całym kraju kopalniach milionów, miliardów a może nawet dziesiątków miliardów złotych.

Dlatego też uważam za celowe, a w obecnej chwili pilne i niezbędne, powołanie ogólnopolskiej Społecznej Komisji Ankietowej dla przeprowadzenia głębokiej analizy wszystkich dziedzin naszej gospodarki pod kątem likwidacji marotrawstwa pod każdą postacią, szybkiego uruchomienia wszelkich istniejących rezerw produkcyjnych i znacznego podniesienia na tej bazie plac wszystkich grup pracowników.

W skład tej komisji powinni wejść fachowcy ekonomiczni i inni zarówno praktycy jak i naukowcy spoza skostniałego i niezdolnego w obecnych warunkach do wysunięcia radykalnych wniosków aparatu gospodarczego lub istniejących obecnie, a przesłanki biurokratyzmem i schematyzmem placóweczek naukowo-badawczych.

Komisja ta musi działać niezależnie od PKPG i kierownictwa resortów gospodarczych, a w dziedzinie zbierania materiałów powinna posiadać uprawnienia instancji nadrzędnej. Stąd organem powołującym ogólnopolską Komisję Ankietową mogłyby być tylko Sejm, Rada Państwa lub Prezes Rady Ministrów. Temu organowi również przedkładać byłyby wyniki prac oraz ostateczne wnioski Komisji.

Struktura organizacyjna Komisji powinna uwzględniać zarówno specyficzną problematykę poszczególnych gałęzi naszej gospodarki, jak i zagadnienia ogólnogospodarcze np. system plac, politykę cen, postęp techniczny, racjonalną organizację pracy i organizację przedsiębiorstw, planowe zatrudnienie i szkolenie kadr itp. Wyraziłoby się to w organizowaniu podkomisji resortowych, terytorialnych i problemowych z uwzględnieniem takiego podziału, by komisja objęła swymi badaniami całokształt naszej gospodarki narodowej.

Komisja ta prowadziłaby badania i zbierała materiały z własnej inicjatywy, jak też rozpatrywałaby wszelkie wnioski napływające z zakładów pracy i od poszczególnych pracowników — z prawem przyznawania nagród, premii, odznaczeń i dyplomów. Miałaby ona również prawo wysuwania postulatów dotyczących przeznaczenia

części wykrytych i rzeczywiste uzyskanych oszczędności na podwyżkę plac pracowników tego zakładu, który przyczynił się do ich uzyskania.

Dzięki szeroko zakrojonym pracom Komisja mogłaby wciągnąć do realnych i niezwykle interesujących badań olbrzymią rzeszę pracowników naukowych katedr i zakładów ekonomicznych, co zbliżyłoby ich do konkretnych i bieżących zagadnień naszej gospodarki i stworzyłoby dla ich pracy naukowej prawdziwą, a nie fikcyjną — jak to jest dotychczas, bazę materialną. Pracę tę mogłoby wykonać pracownicy naukowci nieodpłatnie w ramach ich rzadko wypełnianego wartościowymi badaniami, a częściście zapelnionego jedynie piśmennymi sprawozdaniami, pensem naukowym, wynoszącego oficjalnie 12 godzin tygodniowo. W ramach tych prac na pewno dojrzałby niedoceniony talent organizacyjny i naukowy oraz mogłoby się rozwinąć najbardziej szlachetne i korzystne dla wszystkich współzawodnictwo między ośrodkami naukowo-badawczymi. Czasokres trwania prac komisji przewiduję na 6-12 miesięcy.

Wyniki prac Komisji Ankietowej, publikowane bieżąco w prasie, a ostatecznie opublikowane w specjalnym wydaniu, stałyby nie tylko przedmiotem żywej dyskusji, ale i prawdziwym źródłem do dalszych badań gospodarki naszego okresu. Poza tym zdobyte w pracach Komisji doświadczenie mogłoby być wykorzystane dla zorganizowania stałych placówek naukowych, badających rozwój naszej gospodarki.

Oczywiście rzucam tu najbardziej luźny, szkicowy projekt; wymaga on dokładnego opracowania przez powołane w tym celu grono fachowców. A fachowców takich, doświadczonych w takich pracach mamy jeszcze w Polsce co prawda niewiele, ale wysokiej klasy. Mamy również w tym względzie dobre tradycje. Stąd właśnie płynię moje przekonanie co do wysuniętego postulatu, widzę bowiem możliwość współpracy wieloletniego,

głębokiego doświadczenia z młodym entuzjazmem nowych, ciągle niedoświadczonych, ale spragnionych prawdziwych badań kadr ekonomistów.

Do tych dobrych tradycji należy m. in. u nas niewątpliwie Komisja Ankietowa z roku 1926, powołana dla badania warunków i kosztów produkcji oraz wymiany. Ma ona również w okresie międzywojennym swoje liczne poprzedniczki w krajach burżuazyjnych, jak np. w USA — tzw. Ankietę Hoovera o marnotrawstwie w przemyśle amerykańskim, w Anglii — Komisję do badania kosztów produkcji ludzkiej spożywczej artykułów rolnych (1922), liczne komisje dla badania przemysłu węglowego i kształtowania się cen, czy wreszcie komisje dla badania warunków oraz perspektyw rozwoju przemysłu i handlu brytyjskiego ze specjalnym uwzględnieniem eksportu (1924), w Niemczech — Komisję Ankietową dla wszechstronnego badania warunków produkcji i zbytu gospodarki niemieckiej.

Takie właśnie komisje powoływane były w okresach trudnych dla całoci gospodarki, czy poszczególnych jej dziedzin. Jeżeli spełniały one, chociaż w ograniczony sposób, swoją rolę w warunkach rozproszonej, żywiołowej gospodarki kapitalistycznej, można mieć słuszną nadzieję, że powołana ogólnopolska Społeczna Komisja Ankietowa odda społeczeństwu wielokrotnie większe usługi przy rzeczywistym kierownictwie całocią gospodarki, jakie może istnieć jedynie w warunkach społecznej własności środków produkcji.

Poza tym przyniesie ona również olbrzymią, chociaż niewymierną korzyść, jaką będzie przekształcenie sloganu o gospodarstwie aktywności szeroki mas — w żywą działalność produkcyjną.

Józef Popkiewicz

ŻYCIE **3**
GOSPODARSTWA

O Zjeździe — pesymistycznie

(Dokończenie ze str. 2)

czyniła się w dużym stopniu do jego charakteru. Wszystkowemu programowi spilić naukowość obrad. Nauka — to nie polityka. Politykę można w zależności od sytuacji zmienić na jednym zjeździe. Nauki jeden zjazd nie rewolucjonizuje i nie zmienia. Nauki nie zmienia szereg zjazdów, jeśli nie będzie rzetelnej, naukowej pracy, sporów, przedstawiania nowych koncepcji i wypróbowania ich w ogniu wolnej i nieskrępowanej dyskusji naukowej.

Wydaje mi się, że poza ogólnometodologiczną dyskusją należało się zdecydować na uchwycenie głównego ognia aktualnej problematyki ekonomicznej — zagadnienia prawa wartości. Tak z punktu widzenia teorii jak i praktyki ekonomicznej prawo wartości, jego oddziaływanie i wykorzystanie — to fundamentalny problem dnia. Ogromny wachlarz zagadnień związanych z działaniem prawa wartości i jej związku z wartością użytkową, zagadnienie cen środków produkcji i środków konsumpcji, zagadnienie rozrachunku gospodarczego itp. omówiony w sekcjach stałby się niewątpliwie trwałym dorobkiem zjazdu — dorobkiem, który służyłby i teorii i praktyce.

A tymczasem mimo tłoku tematów, program nie przewidywał obrad w sekcjach. Spowodowało to konieczność ograniczania czasu przemówień do 10 minut, co zresz-

tą uniemożliwiło dojście do głosu wszystkim chętnym. Ci zaś, którzy doszli do głosu, odczuli na swojej skórze psychiczną presję tych, którzy czekali daremnie na swoją kolej. Czy można w takich warunkach dowodzić słusności tez naukowych? Toż przecież czasy Tomasza Morusa mamy już poza sobą.

Jakiż więc są moje ogólne wrażenia zjazdu. Nie wdając się w szczegółową ocenę referatów i dyskusji, bo na to jeszcze za wcześnie — odczuwam oświadczenie wrześnie niedosytu. Słusznie podkreślił prof. O. Lange, że Zjazd odbył się w okresie wielkich przemian, wielkiego przełomu, u progu nowego etapu rozwoju nauk ekonomicznych w szczególności. Wydaje mi się, że Zjazd nie nadążył za tempem przemian. Gdybyśmy podzielili ubiegły okres „rozwoju” nauk ekonomicznych na 3 etapy: etap błędzenia, etap krytyki i etap naukowy — to zjazd ekonomistów należałoby umiejscowić w środkowym etapie rozwojowym. Teoria ekonomii, która od konfrontacji poglądów i dyskusji oczekiwała konkretnego dorobku naukowego, nie została wzbogacona. Praktyka ekonomiczna, oczekująca konkretniejszych wskazówek dla polityki gospodarczej, poza ogólnikowymi wskazówkami — również niewiele skorzystała. Tak więc moim zdaniem bilans zadań i osiągnięć Zjazdu Ekonomistów nie jest zrównoważony.

Tadeusz Lufoborski

JAK DŁUGO TRWAĆ BĘDZIE TEN PRZEDNÓWEK?

WŁADYSŁAW KOSIOREK

Od kilku lat istnieje na naszym rynku żywnościowym taka sytuacja, że jeśli nie brakuje mięsa, to na pewno nie ma masła, warzyw czy ziemniaków. Trafia się, że i z chlebem są doraźne kłopoty. Zawsze występują różne trudności. Słowem — „przednówek”.

Przestaje to wydawać się dziwną, gdy się przyjrzyjmy wynikom, jakie osiągnięliśmy w rolnictwie po wojnie.

Przeciętne roczne plony (w q/ha)	1934—38	1951—55
4 zboż	11,4	12,6
Ziemniaków	121	117
Buraków cukrowych	216	186

Mamy więc pewien sukces w zbożu, ale i wyraźny spadek plonów okopowych. Jeśli się prześledzi spadek produkcji ziemniaków i buraków na zboże, to sukcesy mocno maleją. Będzie to jakieś 80—90 kg zboża więcej z hektara, tj. tyle, ile powinna zapewnić dobre wykonana po żniwach podorywka. A przecież poza lepszą agrotechniką nie poskapiłmy po wojnie innych środków, które powinny przyczynić się do wzrostu produkcji roślinnej. Świadczy o tym zestawienie.

	1938	1953
Zużycie nawozów w czystym składniku N, P, K (w tys. ton)	125	544
Zużycie nawozów w czystym składniku na 1 ha zasiewów w kg	7,1	35,3
Liczba traktorów przeliczonych w tys. szt.	—	57,5
Liczba POM	—	424

Do tego dochodzi blisko 3 tys. GOM, kilkanaście tysięcy fachowców w służbie rolnej, coroczne szkolenie rolnicze, melioracja znacznych obszarów gruntów, zagospodarowanie wielu łąk, praca kilku instytutów naukowych itp.

Zdobiliśmy się więc na znaczny wysiłek, a rezultat — mizerny. Dlaczego tak się stało? Jest to pytanie, nad którym powinniśmy się dobrze zastanowić, albowiem fakt, że nasza stopa życiowa podnieść się nie może — z tego przede wszystkim wypływa, że nie zdołaliśmy ruszyć produkcji rolnej.

W roku ubiegłym ukazała się książka pt. „Zespół PGR Ostrowo Słacheckie” opracowana przez Instytut Ekonomiki Rolnej. Czytamy w niej, że w tym zespole w 1954 r. przeciętne zużycie nawozów sztucznych w czystym składniku na hektar wynosiło 70 kg. Była to poważna ilość gwarantująca plony zbóż ponad 20 q z ha (oczywiście przy zachowaniu innych warunków agrotechniki). A jakie uzyskano w 1954 r. wyniki przy tym nawoże-

niu? Porównajmy plony dwóch gospodarstw, należących do tego zespołu: Gulczewo i Otoczna.

	Gulczewo	Otoczna
Zyto	17,6 q	12,5 q
Jęczmień	18,4 q	9,0 q
Owies	20,3 q	13,0 q
Mieszanka zbożowa	21,0 q	13,8 q
Ziemniaki	165,0 q	75,0 q

Należy dodać, że Otoczna posiada glebę z natury żyzniejszą niż Gulczewo. Dlaczego więc w Gulczewie uzyskano bez porównania lepsze plony niż w Otocznej? Otóż Gulczewo jest lepiej zagospodarowane, ma więcej inwentarza i obronika. Orientacyjna przeciętna dawka obronika wyniosła w 1954 r. w tym majątku 55 q na ha, a w Otocznej tylko 15 q, czyli prawie 4 razy mniej.

Przykład ten świadczy, jak silny wpływ na wzrost plonów ma obronik. Z tego zaś wniosek inny: jeżeli w całym kraju mimo znacznego zwiększenia nawozów sztucznych plony nie przekroczyły poziomu Otocznej, to znaczy, że było za mało obronika. Tak, chociaż sprawa nie jest prosta... Przeciętne zużycie obronika na hektar mamy w kraju znacznie wyższe niż w Otocznej, ale istnieje u nas taka osobliwość, że jedno gospodarstwo stosuje dużo obronika, a mało nawozów, inne zaś mało obronika i stosunkowo dużo nawozów. Wynik jest taki, że gospodarstwa pierwsze na samym obroniku nie mogą uzyskać wysokich plonów, a drugie nie mogą tego także dokonać na samych nawozach sztucznych. Wiadomo bowiem, że wysokie plony osiąga się na obroniku i na nawozach sztucznych. A więc nasz problem sprowadza się do wzrostu produkcji obronika, a ta zależy od rozwoju hodowli.

Jakie sukcesy osiągnięliśmy w tej dziedzinie w planie 6-letnim? W okresie tym pogłowia bydła wzrosło o 12%, a trzody chlewnej o 78%, licząc zaś na 100 ha użytków rolnych w bydło osiągnęliśmy poziom 39 sztuk (w 1937 r. mieliśmy 41), a w trzodzie 53 sztuki (w 1937 r. — 30). Czy jest się z czego cieszyć? Nie bardzo. To nie jest normalny rozwój hodowli i rolnictwa. Bydło powinno wyprzedzać trzodę. Dlaczego? Jedna świnka trzymana cały rok w chlewie daje 4 razy mniej obronika niż krowa, która przez pół roku chodzi po pastwisku. Znacząco, że taki rozwój hodowli, gdzie trzoda znacząco wyprzedza bydło, daje stosunkowo mały wzrost produkcji obronika. Z drugiej strony bydło wpływa na polepszenie płodozmiaru, ono zmusza niejako rolnika do zwiększania upraw roślin pastewnych, motylkowych i okopowych (buraki cukrowe), co pod-

nosi urodzajność gleby i plony zbóż. Trzoda przeciwnie — popycha do pogorszenia płodozmiaru, do przesiewów zboża po zbożu, bo jest ona nie mniejszym konsumentem ziarna niż człowiek. Nasz problem zubożył wyniki w dużej mierze właśnie z wadliwej struktury naszej hodowli.

W pewnym stopniu przypomina to sytuację Niemiec przed wojną. W Niemczech wtedy też stosunek bydła do trzody wynosił tak jak u nas 3:4. Jednakże tam poziom bydła na 100 ha był znacznie wyższy niż u nas i plony mocno wyrubowane tak, że podnoszenie ich wymagało stosunkowo wysokich kosztów, podczas gdy import zboża na paszę dla trzody był tani. My zaś obecnie importujemy drogie zboże (import miliona ton zboża mocno ciąży na naszej gospodarce), a mamy jeszcze duże możliwości zwiększenia plonów w sposób tani poprzez rozwój hodowli bydła.

Dlatego też słuszne jest postanowienie uchwały V Plenum KC PZPR, zalecającej zwiększenie pogłowia trzody tylko o około 15%, a bydła o około 25%. Tempo rozwoju hodowli bydła powinno być w pięciolatek dwa razy większe, aby doprowadzić do odpowiedniej proporcji między tymi dwiema zasadniczymi gałęziami naszej hodowli. Ale sama uchwała niewiele mówi, jeśli nie nastąpi szereg posunięć w polityce gospodarczej na wsł.

Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że taki, a nie inny rozwój naszej hodowli w sześciolatek spowodowały określone warunki i jeśli się ich nie zmienia — nie ma mowy o zmianie tempa rozwoju hodowli bydła i trzody.

To prawda, że zagospodarowanie w pięciolatek kilkuset tysięcy ha łąk, może zachęcić wielu chłopów (o ile będą mieli środki na rozbudowę obór) do zwiększenia pogłowia bydła, ale kurydła może się stać wodą na świeżym młyn, jeśli dalej warunki ekonomiczne dla trzody będą lepsze niż dla bydła.

W planie 6-letnim świnię wygrały wyścig z bykiem nie z przypadku, ale na skutek lepszych warunków, jakie im zapewniliśmy.

Mówi się często: były wypaczenia w walce klasowej. Średniaki, który trzymał więcej krów — wielu działaczy uważało za kulaka. Sprawilo to, że chłop nie kwapił się do zwiększania hodowli. Niewątpliwie te błędy odegrały pewną rolę, ale nie należy ich wyolbrzymiać, bo można by pomyśleć, że skoro uparliśmy się z tymi wypaczeniami, to już nie ma przeszkód dla hodowli. Tak wcale nie jest. Dlatego musimy się poważnie zastanowić nad przy-

czynami, które zahamowały wzrost hodowli bydła.

Czy były przyczyny obiektywne? Były. Mieliśmy w sześciolatek ciężkie lata dla bydła, przepadało wiele paszy z powodu posuchy, ale i dla trzody też trafiały się lata chude. Warunki obiektywne nie uprzywilejowały więc żadnej ze stron.

Jednak subiektywne warunki wyjściowe były gorsze dla bydła. Perspektywa przebudowy wsi w pierwszych latach, kiedy ta sprawa stała u nas niewątpliwie bardziej osłabiła chęć rolników indywidualnych do rozwijania hodowli bydła. Zeby zebrać owoce nakładów w tej dziedzinie, trzeba było dużo pracy i parę lat czasu. A tu nie wiadomo było, co się stanie z tym bydem. Dlatego też wielu rolników wołało się nastawić na chów świń, bo w tej gałęzi cykl produkcyjny jest krótszy i zawsze się z tej produkcji można wycofać bez strat. Z tego powodu start bydła w sześciolatek był gorszy od świń.

Wszystko przemawiało więc za tym, aby w pierwszych latach sześciolatki stworzyć lepsze warunki ekonomiczne dla hodowli bydła, aby przełamać obawy chłopów. Tymczasem wprowadziliśmy wtedy dostawy obowiązkowe mleka.

Nie wysuwamy tu oczywiście pochopnego postulatu: rychłego zniesienia obowiązkowych dostaw mleka. Uważamy jednak, że sprawa ta wymaga zasadniczego przemyślenia. Dostawy te zamykały wprawdzie gładko system dostaw, ale — tu powinien zdecydować nie widok kotleta na patelni, lecz wzgląd na przyszłość produkcji rolnej.

Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że wprowadzenie dostaw obowiązkowych w ogóle nie dodało rolnikom bodźca do zwiększenia produkcji. Brak tych bodźców dał się odczuć szczególnie silnie w hodowli bydła.

Dostawy mleka są wysokie i najbardziej doczuł się z wszystkich dostaw, bo trzeba się z nich wywiązywać codziennie. Istnieje przy tym nieczym nieograniczona możliwość oszukiwania chłopów przez nieuczciwych zlewiarzy, a tych nie brakuje. Mało tego — przy niskich cenach mleka obowiązkowego — 90 gr za litr wprowadzono zbyt wysokie ceny na chude mleko.

Dostawca mleka pragnie uzyskać z powrotem część chudego mleka, aby mieć paszę białkową do wychowu prosiąt i cieląt. Odtąd nie wszędzie może być otrzymać z powrotem, bo to zależy od widzi mi się przemysłu mleczarskiego.

nie ekonomiczne, powiększa szeregi technokratów. Jeżeli ktoś ma wątpliwości, niech zaobserwuje, jak chętnie i z jaką błogością przykają oni tytuł inżyniera, jeżeli w rozmowie ich ktoś nim poczęstuje.

Dobór ludzi do wykonywania funkcji ekonomicznych, szczególnie w gospodarce socjalistycznej, nie jest łatwy. Sprawa jest jednak niezwykle ważna. Od tego w olbrzymim stopniu zależą wyniki naszej gospodarki. Przypuszczam, że nikt nie potrafił sprzeczyć, że realizacja zapewnienia optymalny dobór ludzi do wykonywania funkcji ekonomicznych. Nie ulega jednak dla mnie wątpliwości, że cały słuszny przecieł kapitalu uznania, jaki mamy dla spraw techniki, rozkładamy na drobne.

A należy go skoncentrować — również i w takiej formie jak fundusz plac — nie na całej inteligencji technicznej, lecz tylko na tej części, która obok formalnego, posiada i rzeczywiste wykształcenie techniczne. Na tej części, która rzeczywiście związana jest ze sprawami techniki, która wykonuje funkcje techniczne i pracuje przy konstruowaniu, projektowaniu i nadzorze nad procesem technologicznym.

Dalszym krokiem ograniczającym technokrację, byłoby obsadzenie nowych funkcji ekonomicznych jedynie przez ludzi z rzeczywistym przygotowaniem ekonomicznym. W końcu należałoby dokonać przeglądu istniejącej obsady funkcji ekonomicznych.

Literatura ekonomiczna opisująca zależność wyników gospodarowania od jakości wykonywania funkcji gospodarczych. Ba, zastanawiała się nawet nad trudnością doboru ludzi do funkcji ekonomicznych w gospodarce socjalistycznej. Trudno tutaj sprzeczyć jakieś kryteria. Czas jednak zacząć w praktyce doceniać funkcje ekonomiczne.

I wierzę, że kiedyś w przyszłości społeczny podział pracy doprowadzi do tego, że z uwagi na jego doniosłość funkcje społeczne wykonywane z zawodu ekonomisty będą tak samo prawnie zastrzeżone, jak obecnie jest zastrzeżone wykonywanie zawodu lekarza.

Eugeniusz Rychlewski



wspomnieć o hamulcach natury gospodarczej.

Ważny np. pod uwagę sprawę poplonów. Mówi się o nich wiele od lat, ale nigdy nie została sprawa ta mocno postawiona. A przecież jest to kapitalne źródło paszy wartościowej i nawozów zielonych.

Nasz brak obronika możemy uzupełnić nawozami zielonymi, ale nie stać nas na uprawę roślin na nawóz w plonie głównym. Możemy je siać jako poplon. To prawda, że letnie poplony są uzależnione od opadów i przez kilka lat w planie 6-letnim zawiodły. Ale za to doskonale się w tym czasie udały poplony ozime. Płynię z tego na lic, że w naszym ziemnym klimacie musimy się zadowolować z obu stron i siać jak najwięcej poplonów letnich i ozimych. Uważam, że jest to dla naszego rolnictwa sprawą nie mniejszego znaczenia, niż wprowadzenie uprawy kukurydzy. A tymczasem zostawiono ją sprawę własnego losu.

Najtrudniejszą sprawą jest tu brak nasion. Z roślin poplonowych na pierwsze miejsce wysunął się łubin pastewny w poplonach letnich i wyka kosmata — w ozimych, ale w produkcji tych nasion czynimy tak słabe postępy, że nie wiadomo kiedy zaspoikomy zapotrzebowanie na te nasiona. Może istnieją tu jakieś trudności obiektywne? Nie, po prostu brak trzody, niedocenicenie tej sprawy. Dostawę? Proszę bardzo. Wyka ozima — to nadzwyczajna roślina, ale ma tę wadę, że od jej zbioru do siewu upływa najwyżej miesiąc i trzeba się bardzo spieszyć (w żniwa) z młócką i ostawiać nasion. Potrzebny jest tu więc silny bodziec materialny, aby rolnikom zależało na czasie. Tymczasem premia za terminową dostawę wyki wynosi 5% ceny — tyleż samo, co i przy wycej jarej — którą wysiewa się po 8 miesiącach. Przeczenie? Nie. To dowód, że się o tym wcale nie myśli, nikomu na tym nie zależy.

Skutek jest taki, nasiona wyki dostarczają chłopi za późno — nie rozchodzą się one w danym roku, zalegają magazyny i na przyszły rok kontraktuje się znowu małe wyki — zalewają kilka tysięcy ha.

Jeśli nie przyspimy do produkcji nasion roślin pastewnych z sercem i głową — to możemy uchwalać, że podniesiemy hodowli bydła, ale niewiele z tego wyjdzie. Wnioski z naszych uwag są proste: usunąć wszystko, co hamuje wzrost hodowli bydła. Tu nawet wielkiej pomocy nie potrzeba, nie trzeba tylko przeszkadzać.

Można by powiedzieć, że nasz wniosek jest spóźniony, że w ogóle tak źle nie jest, bo od 1953 r. po uchwale hodowlanej bydło „ruszyło”, a w 1955 r. nawet ładnie „podskoczyło”, jak to wykazał spis rolny.

Cieszyłbym się bardzo, gdybym się omylił, ale nie mogę uwierzyć w tę poprawę. Wydaje mi się, że w ubiegłym roku statystyka mimo woli spłatała nam figla. Spis był w czerwcu, a dopiero po nim nastąpił spływ głównej masy cieląt kontraktowanych na rzeź. Mimo to przynajmniej, że ostatnio daje się odczuć wzrost przychodów. Chciałbym wierzyć, że jest to wynikiem zmiany nastawienia hodowców, a nie tylko koniecznością przychowania większej ilości nowych sztuk, aby zastąpić stare. W każdym razie dobre i to. Sądzę, że nowe wyższe ceny rzeźne krów i jałowicy przyspieszą proces odmładzania stada. Ale nie są w stanie zwiększyć pogłowia i podnieść jego jakości. Do tego trzeba zmienić politykę w zakresie mleka, usunąć trudności hodowlane wywołane nierównomiernym rozłożeniem obowiązków itp.

Powinno nam nawet zależeć na jakości naszych krów, szczególnie na tych terenach, gdzie pogłowia bydła jest już dość wysokie. I w tym kierunku trzeba zwiększyć bodźce. Wydaje się, że celowy byłby powrót do spółdzielczości mleczarskiej, czyniąc z niej punkt wyjścia do uruchomienia rezerw w gospodarstwach rolnych, a także i do przebudowy wsi.

Powinno nam dążyć do tego, aby w gospodarstwach małych i w słabych średniaków krowy przynoszące stały znaczny dochód rolnikowi zaczęły wypierać konia domowego. Traktor może wejść na naszą wieś małą i średnią, natomiast tylko w przemyśle z krową. Na nic zda się obniżka ceny za pracę traktorem, jeśli z gospodarstwa chłopskiego krowa nie wypchnie pracującego konia. Dobra krowa może więcej zdziałać na rzecz przebudowy wsi niż wygadzany agnator.

Rzecz jasna, nie należy mniemać, że skoro ta sprawa się rozwiąże — już będą usunięte wszystkie kłopoty. Tak nie jest. Sprawa rozwoju hodowli bydła, to warunek podstawowy, ale sam on niewiele będzie znaczył, jeśli nie uwzględni się innych warunków jak polityka osadnicza, polityka plac, mechanizacja, inwestycje budowlane, melioracja itp. Od nich również zależy szybkie wyjście z naszego „przednówka”.

Władysław Kosior.

PRZECIWKO TECHNOKRACJI

(Dokończenie ze str. 3)

ekonomicznymi. Ale prawdą jest również, że przestali się tym zajmować. Gospodarka nasza wymaga bowiem rozwiązania problemów ekonomicznych w skali nie tylko mikroekonomicznej, ale również w skali makroekonomicznej, co z kolei umożliwiła osiągnięcie korzyści w skali makroekonomicznej.

I właśnie dlatego inteligencja techniczna przestała się tymi zagadnieniami zajmować, ponieważ przestali one być siłą. Dobrym przykładem może być tutaj zagadnienie efektywności inwestycji. Dla korzyści makroekonomicznych zrezygnowaliśmy z korzyści mikroekonomicznych, jakże często nie osiągając jednak ani korzyści w skali makroekonomicznej ani w skali mikroekonomicznej. Dlatego tam, gdzie jest wystarczająca ilość problemów ekonomicznych, powinniśmy być przeprowadzony podział pracy między technikami i ekonomistami z korzyścią dla sprawy.

I nie ma to nic wspólnego z oddzieleniem techniki od gospodarki, z oddzieleniem techników od ekonomistów. Wprost przeciwnie, jak można się przekonać chociażby z dyskusji, toczącej się od kilkunastu miesięcy na łamach „Życia Gospodarczego”, w praktyce nierazkto istnieje podział na ekonomistów — tych od frazesów i co to „przyniesie i odniesie” i na techników — fachowców od zagadnień... gospodarczych.

FETYSZYZACJA TECHNIKI

To uwielbienie dla techników przenosi się i na technikę. Staje się ona w oczach wielu ludzi „panaceum” na wszelkie dolegliwości gospodarcze. Ona ma zlikwidować nadmierne koszty, wypełnić marotrawstwo, polepszyć jakość produkcji i zastąpić inicjatywę. Technika ta najwyższa — doprowadzić ma nas niechybnie do podniesienia stopy życiowej.

Ten cały proces fetyszyzacji techniki (a objawy fetyszyzacji techniki bardzo łatwo na przykład dostrzec w obu artykułach P. Jasienicy w Nowej Kulturze nr 11 i 16 z 1956 r.) przypomina lecze-

nie gruźlicy czytaniem książek, albo mowę ślepego o kolorach.

Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że technika nie jest dla nas celem samym w sobie. Nie potrzeba nam techniki w ogóle, potrzeba nam jedynie taniej techniki. (Oczywiście to wcale nie jest łatwo odpowiedzieć, co jest tanie. To dość skomplikowany problem. Rzecz nie sprowadza się do stwierdzenia w rodzaju tego na przykład, że rodziców kosztują 1 zł czy 50 gr). O tym więc, czy technika jest postępowa czy nie, decyduje jej cechy ekonomiczne. Wynika z tego, że polityka techniczna i rozwój techniki nie powinny być autonomiczne, jak to się u nas powszechnie sądzi, lecz powinny być służebne w stosunku do polityki gospodarczej, w stosunku do rozwoju gospodarczego. Elektrownie atomowe tak długo nie są „postępowe”, jak długo produkują drzew, anizeli elektrownie ciepłen i wodne).

Doceniam w pełni znaczenie techniki dla rozwoju gospodarczego kraju. Podkreślałem je na początku artykułu. Ale przecież ulepszenia rewolucjonizujące proces technologiczny zdarzają się stosunkowo rzadko, dotyczą pewnej gałęzi wytwórczej i mają większe znaczenie przy rozpatrywaniu okresu 100-letniego, aniżeli na przykład 5-letniego. Pamiętać również należy, że proces technologiczny to niewielki fragment procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc. rocznie. Daleko większe rezultaty można osiągnąć w wyniku wyznaczenia właściwych kierunków rozwoju gospodarki narodowej, ustalenia korzystnych proporcji gospodarczych, w uzdrowieniu przebiegu procesów gospodarczych. A zwykłe ulepszenie procesu technologicznego może obniżyć koszty produkcji o kilka procent w skali rocznej, może zwiększyć nasz dobrobyt o około 30 proc. w ciągu pięciolatek, tj. nieco więcej niż o 5 proc

Artykuł Z. Moreckiej o placach najniższych, zamieszczony w numerze 11 ŻG poruszył jeden z najbardziej piekących problemów naszego współczesnego życia. Pokazał on przykładowo strukturę zatrudnionych według zarobków i zobrazował próbę porównania tych zarobków z wzorcowym budżetem z 1945 r. Wydaje się jednak, że autorka nie doprowadziła swęj myśli do końca, poprzestając jedynie na stwierdzeniu, że przytoczony budżet nie może być podstawą naszej polityki plac. Dlatego też sądzę, że słuszne będzie dorzucenie w tej sprawie jeszcze kilku uwag.

Sprawa badania budżetu rodzinnego nabiera w chwili obecnej coraz konkretniejszego wyrazu. Dla wszystkich bowiem stało się jasne, że najpierwszą koniecznością jest takie ustalenie plac najniższych, by wpłynęły chociażby w niewielki, ale odczuwalny sposób na poprawę przychodowej strony budżetu rodzinnego. Ale wiemy również wszyscy, że przy tej okazji doszło do pierwszego starcia między budżetem państwa i budżetem rodzinnym. Państwo bowiem nie jest w stanie przeznaczyć większych środków na poprawę sytuacji materialnej ludzi najgorzej zarabiających. Ostatnia korekta plac jest przyśłowiem przeciaganiem zbyt krótkiej kolderki. Wprawdzie bowiem na uzupełnienie plac najniższych do 500 zł przeznacza się z budżetu państwa poważne kwoty, w praktyce jednak zachodzi zjawisko wygospodarowywania środków na ten cel przez zmiany w uposażeniu, albo co najmniej ograniczenie możliwości zarobkowania dodatkowego w innych grupach pracowniczych. Kolderkę przeciagają się na pierśi najniżej zarabiających, ale równocześnie odkrywają się nogi średnio zarabiających. W efekcie i jedni i drudzy nie są bynajmniej zadowoleni.

Przez minione dziesięć lat budowania zrębów nowego ustroju, który za cel stawia sobie przede wszystkim podnoszenie dobrobytu człowieka pracy, nie pomyśleliśmy zupełnie o badaniu potrzeb przeciętnej rodziny. Nie zastanawialiśmy się nad sposobami zaspokajania tych potrzeb. Wicepremier Minc — w minionych latach — niemal w każdym swym przemówieniu na temat naszej gospodarki zajmował się zagadnieniem wzrostu stopy życiowej. Wzrost ten jednak był w znacznej mierze wzrostem GUS-u, wychodziło się bowiem od produkcji. Statystyka mówiła, że wyprodukowaliśmy określoną ilość produktów spożywczych i przemysłowych. Po odliczeniu eksportu i rezerw oraz po dodaniu importu wystarczyło podzielić te dane przez liczbę ludności, aby otrzymać przeciętne spożycie na głowę ludności. A tymczasem człowiek pracy, dowiadując się, że wszystkiego spożywa więcej, stwierdzał często w swym domowym gospodarstwie, że jest inaczej.

Gdzie leży więc źródło tego rozminienia się statystyki z rzeczywistością? Czy może statystyka była zafałszowana? Albo może coś się działo z produktem na drodze między producentem i konsumentem?

Przed wszystkim trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że nasza statystyka w okresie minionych lat nie zajmowała się niemal zupełnie spożyciem od strony konsumenta i — jako się rzekło — spożycie obliczała z produkcji. Nie można więc absolutnie na jej podstawie wyrobić sobie chociażby przybliżonego obrazu podziału i wielkości udziału poszczególnych grup społecznych w spożyciu. Można by wysunąć pogląd, że w dziedzinie podstawowych produktów zaopatrzenia konsumpcja w grupie robotników i szerokiej rzeszy urzędników nie wzrosła dostatecznie. Natomiast wyraźnie wzrosła konsumpcja w rodzinach najlepiej sytuowanych.

Stosowane dotychczas wychodzenie od produkcji towarowej jest również zawodne i nie daje jasnego obrazu. Aby tę metodę stosować, trzeba uwzględniać kilka momentów. Przede wszystkim należy brać w rachubę jakość towarów przeznaczonych na rynek. Bo np. para obuwia, którą można nosić powiedzmy — 2 lata, bynajmniej nie równa się parze obuwia, które rozlatuje się po dwóch miesiącach. A gdybyśmy oparli się o ów towar z tej jakości i stwierdzili, że 2 pary takiego obuwia zużywa obywatel na 2 lata — to musielibyśmy wyciągnąć logiczny wniosek, że w tej dziedzinie, mimo pozornego wzrostu spożycia — zmalało ono aż 6 razy. I jakże tu pogodzić liczby statystyczne z życiem?

To jednak nie wszystko — statystyka bowiem, obliczając spożycie na podstawie produkcji — nie bierze pod uwagę skomplikowanej drogi towaru od miejsca produkcji do rąk konsumenta. A że droga ta jest nader powikłana i przynosi dalsze obniżenie jakości produktów i nawet całkowite jej zniknięcie — o tym wiemy wszyscy. Nie wiemy natomiast, ile towarów przemysłowych przeznaczanych jest na powtarzalne przerobienie, gdy na skutek wad nie znajduje nabywcę. Nie wiemy, ile ubywa rocznie ton zboża na skutek obniżenia jego jakości w magazynach; nie wiemy, ile ton jarzyn i owoców marnuje się po drodze od gospodarstwa do placówki handlu detalicznego itd. A nie wiemy po prostu dlatego, że statystyka nie może nam odpowiedzieć na te pytania. Czyż nie brzmi to jak ironia, że statystyka jest bezzilna wobec życia, chociaż stworzyliśmy... tak potężną

sprawozdawczość, iż wołamy nacwet o jej radykalne zmniejszenie. Doprowadziliśmy do tego, że sprawozdawczość i statystyka istniały same dla siebie i nie wiele dawały pożytku.

Wydaje się więc, że w tej dziedzinie nie ma swojego palącego ostrza żądanie pełnej jawności. Nie można przecież ujawniać tego, czego się nie zna. A kierownictwo gospodarcze z pewnością również nie ma jasnego poglądu na sytuację w tej dziedzinie.

Dotychczas rozważaliśmy wyłącznie rejestrację, zewnętrzne sprawy naszej stopy życiowej. Dla jej głębszej analizy niezbędne jest opracowanie reprezentatywnego budżetu rodzinnego dla poszczególnych grup pracowniczych. I wtedy trzeba będzie zająć się bliżej tym, co najistotniejsze. Mianowicie, jaka jest niezbędna wysokość środków, wyrażonych w pieniądzu, na jedną osobę w ciągu roku czy miesiąca, by budżet się równoważył i był budżetem już nie dobrobytu, ale średniego poziomu życiowego. Innymi słowy — ile powinien zarabiać przeciętny obywatel, aby mógł utrzymać siebie i rodzi-

Odowiedzenie sobie na to pytanie nie jest bynajmniej łatwe. Nie można jednak rozważać opierać ani na budżecie z 1936 r., ani z 1945.

Pierwszą pracą w naszych warunkach powinno być zestawienie przez GUS tzw. koszyka produktów dla poszczególnych grup pracowniczych oraz zestawienie i przeanalizowanie przykładowych budżetów rodzinnych. Niezbędne jest przy tym budowanie budżetu wzorcowego nie w oparciu o aktualne możliwości zaopatrzenia i aktualną siłę nabywczą konsumenta, lecz o naukowo określone potrzeby. Porównanie takiego budżetu z budżetem rzeczywistym da bardzo wymowny materiał.

Spróbujmy zestawzić taki przykładowy budżet chociażby tylko w dziedzinie żywnościowych artykułów pierwszej potrzeby, przyjmując bardzo skromne założenie, że potrzeby kaloryczne wyniosą na jednostkę konsumpcyjną, tj. na jednego członka rodziny 2800 — 3000 kalorii dziennie, przy zapotrzebowaniu ok. 100 g białka i 100 g tłuszczów. Są to niemal dolne

naszego budżetu tylko w dziedzinie przemysłowych i spożywczych artykułów pierwszej potrzeby wyniosą 457 zł.

Nie uwzględniono przy tym ani używek (herbata, tytoń, kawa itp.) ani opału i światła, komunikacji, mieszkania, higieny i zdrowia, potrzeb kulturalnych itp. Jeśli na wydatki te przyjmemy 20% całego budżetu, otrzymamy 91,40 zł. W sumie otrzymamy 548,40 zł na jednostkę konsumpcyjną przy założonych 2800 kilokaloriach dziennie. I tę kwotę musimy przyjąć za minimum egzystencji dla samotnego obywatela. Przy współczynniku dla czteroosobowej rodziny = 3,15 jaki przyjmowano przed wojną — wyniesie to 1.727,46 miesięcznie.

Konfrontacja tych liczb z zarobkami najniższymi w granicach 500 — 700 zł i — nawet więcej — daje nam prawdę, której powinniśmy śmiało spojrzeć w oczy. Jeśli oprzemy się na ankiecie ZUS — moglibyśmy stwierdzić, że zarabiających powyżej 1.500 zł miesięcznie jest tylko 17,23% ogółu zatrudnionych, a powyżej 2.000 zł już tylko 6,39%. A więc w najlepszym razie więcej niż 4/5 ogółu zatrudnionych zarabia poniżej minimum egzystencji. Trudno w obecnym stanie naszych badań w tej dziedzinie stwierdzić, w jakim stopniu można by to odnieść do pełnej struktury zatrudnionych. Nie ulega jednak wątpliwości, że odsetek ten jest wysoki.

Oczywiście, musimy tu wprowadzić poprawkę wynikającą z faktu, że w wielu rodzinach jest nie jedna, lecz więcej osób zatrudnionych. Trudno powiedzieć, jaki by tu należało zastosować współczynnik, gdyż brak nam danych. Faktem jest, że niektórzy zatrudnieni mają zarobki nie pokrywające nawet czwartej części najskromniejszych potrzeb rodziny. Obywatele ci — stają więc co dnia i co godziny wobec problemu — jak wyżyć. I często znajdują odpowiedź kolidującą z kodeksem karnym. Zjawisko to jest źródłem wielu niedomagań naszej gospodarki, żeby tylko wymienić łapownictwo, rozkradanie i niszczenie mienia społecznego, brakorobczą pogoń za wykonaniem norm, spadającą wydajność pracy itp.

Odpowiedź na pytanie, co w takiej sytuacji robić, by znaleźć radykalną poprawę — nie jest bynajmniej łatwa. Na znaczne podniesienie produkcji rolnej musimy poczekać szereg lat, gdyż zalety w tej dziedzinie nie da się odrzucić z dnia na dzień. Jeśli jednak dobrze przejrzymy dane przytoczone w roczniku statystycznym, okaże się, że w wielu gałęziach produkcji rolnej, zapotrzebowanie jest znacznie niższe niż produkcja. W wielu więc wypadkach można by pokryć zapotrzebowanie wewnętrzne. Możliwe by to jednak było jedynie pod warunkiem zmiany struktury naszego handlu zagranicznego.

Zdajemy sobie sprawę z wielu ważnych względów przemawiających za utrzymaniem naszego eksportu środków żywnościowych. Dla przeciętnej jednak obywatela, który zresztą nie jest nawet w najmniejszym stopniu zorientowany w strukturze naszego handlu zagranicznego, przekonujący jest częsty argument, iż nie powinniśmy eksportować środków żywnościowych. Powszechne jest przekonanie, że jeśli eksportujemy poważne ilości tych środków podczas gdy zaopatrzenie wewnętrzne jest więcej niż niedostateczne, to jest to eksport głodowy.

Czy możliwe są takie zmiany w naszym eksporcie, by zrezygnować z wywożenia środków żywnościowych? Wiemy o tym, że w ostrej konkurencji na rynkach światowych nasze towary przemysłowe nie zawsze mają szanse zwycięstwa. Niejednokrotnie tracimy raz już zdobyte rynki zbytu z powodu obniżania się jakości naszych wyrobów przemysłowych.

Wydaje się jednak, iż nie oznacza to bynajmniej rezygnowania z przesunięcia w naszym handlu zagranicznym. I w tym miejscu nie można się zgodzić z ob. Morecką, że zmniejszenie eksportu nie da na dłuższą metę i będzie tylko doraźnym środkiem. Powinniśmy dążyć do tego, by eksport nasz obejmował coraz więcej pozycji przemysłowych, za które zdobywalibyśmy nie tylko dewizy na dalsze zaopatrzenie techniczne, lecz które by nam pozwoliły na import niektórych środków spożywczych. Inaczej bowiem pogłębiać się będzie paradoksalna sytuacja, że stajemy się krajem coraz bardziej przemysłowym, a równocześnie eksportujemy poważne ilości żywności, sami nie dojadając.

Dokonanie zaś przesunięcia w tym kierunku, poprawienie jakości naszych towarów przemysłowych, podniesienie wydajności pracy będzie możliwe, gdy zaopatrzenie w ilości co najmniej 3 tysięcy kalorii zapewniłoby dla podstawowej masy ludzi pracy,

TRZEBA PRAWDZIE SPOJRZEĆ W OCZY

TADEUSZ JAWORSKI

ne. I co najważniejsze, czy jego potrzeby znajdują pokrycie w masie towarowej. Bo przecież nie możemy się decydować na taką regulację plac, która by się sprowadzała wyłącznie do szybszego obrotu maszyn drukarskich w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych.

graniczne liczby. Dla uproszczenia rachunku nie będziemy zajmowali się składnikami mineralnymi i witaminami. Dla sprawdzenia kwot, jakie będą niezbędne na nabycie tych produktów, przeliczeń dokonamy w stosunku miesięcznym według przeciętnych cen obowiązujących w handlu detalicznym.

Artykuł	dawka dzienna	norma miesięczna	cena jedn.	wydatek miesięczny
chleb żytni	400	16 kg	3 zł	48 zł
chleb pszenny	100	3 kg	4 zł	12 zł
mąka	50	1,5 kg	6,5 zł	9,75 zł
mięso wieprz.	100 ¹⁾	900 g	30 zł	27 zł
mięso woł. i ciel.	100 ¹⁾	900 g	25 zł	22,5 zł
Jaja	100 ¹⁾	450 g	26 zł	11,7 zł
stonina	25	750 g	34 zł	25,5 zł
masto	25	750 g	54 zł	40,5 zł
mleko	0,5 l	15 l	1,7 zł	40,5 zł
ziemniaki	500	15 kg	1,8 zł	27 zł
strączkowe	100 ¹⁾	320 g	10 zł	3,20 zł
cukier	100	3 kg	12 zł	36 zł
warzywa	200	6 kg	5 zł	30 zł
				343,65 zł

¹⁾ po 100 g 2 razy w tygodniu
²⁾ 2 sztuki tygodniowo
³⁾ 100 g tygodniowo.

W zestawieniu tym oczywiście można z dużą dowolnością zmieniać wzajemne proporcje poszczególnych artykułów. Chodzi przede wszystkim o to, by zachować odpowiedni wynik kaloryczny. Przesunięcia takie muszą naturalnie zmieniać również wyniki pieniężne. Można by np. wysunąć zastrzeżenie, że dzienna dawka cukru jest tu za wysoka. Jej zmniejszenie należałoby zrekomensować podwyższeniem pozycji innego artykułu wysokokalorycznego, np. mięsa, ale wtedy ostateczny wynik pieniężny byłby jeszcze wyższy.

W przytoczonym przykładzie suma kalorii przekracza tylko nieznacznie 2.800 kal. Jest więc jeszcze znacznie niższa od tego, co przyjmujemy za minimum dla człowieka pracującego nie fizycznie.

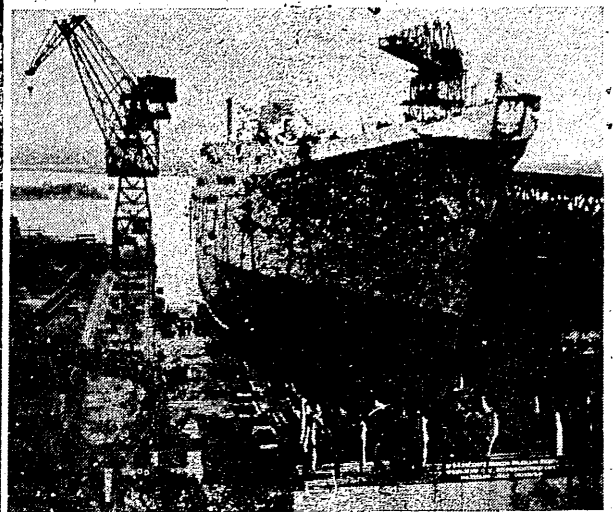
Dla skorygowania tego zestawienia można na podstawie cen i kaloryczności poszczególnych artykułów obliczyć koszt jednej kilokalorii. Kształtuje się on w wysokości 0,5 gr. za jedną kilokalorię (bez ziemniaków i warzyw jako wybitnie niskokalorycznych). W takim wypadku zapewnienie 2.800 kalorii dziennie wymaga wydatku 14 zł, a więc 420 zł miesięcznie.

Dochodzimy więc do wniosku, że około 400 zł trzeba na jedną jednostkę konsumpcyjną miesięcznie na samo tylko nabycie najbardziej podstawowych artykułów żywnościowych. Liczba ta obrazuje sytuację jeszcze gorszą niż całkowity budżet według wzoru z 1945 r. przytoczony w artykule ob. Moreckiej. Nic dziwnego, tamten bowiem budżet przeliczony na kalorie re-

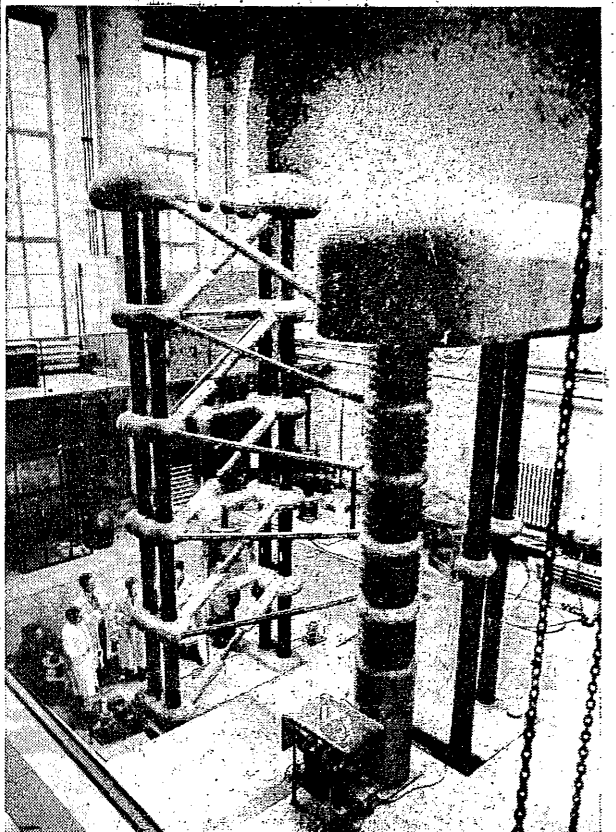
prezentuje ich tylko ok. 2.200. Taką normą mogłaby dotyczyć zaledwie dzieci do lat 9, dla młodzieży dorastającej byłaby o blisko 1.000 kalorii za niską, a dla ciężko pracujących o 2.200 do 2.700 za niską.

Jasne jest, że w takich warunkach nie może być nawet mowy o reprodukcji siły roboczej. Natomiast podstawy takiej reprodukcji — acz bardzo skromne — może dać zestaw artykułów pierwszej potrzeby o kaloryczności 2.800 — 3.000 kal. Tu jednak dochodzimy do najtrudniejszego momentu naszego zagadnienia. Przy tak bowiem zestawionym koszyku artykułów pierwszej potrzeby, niezbędny jest wydatek co najmniej 343 zł miesięcznie na jednostkę konsumpcyjną.

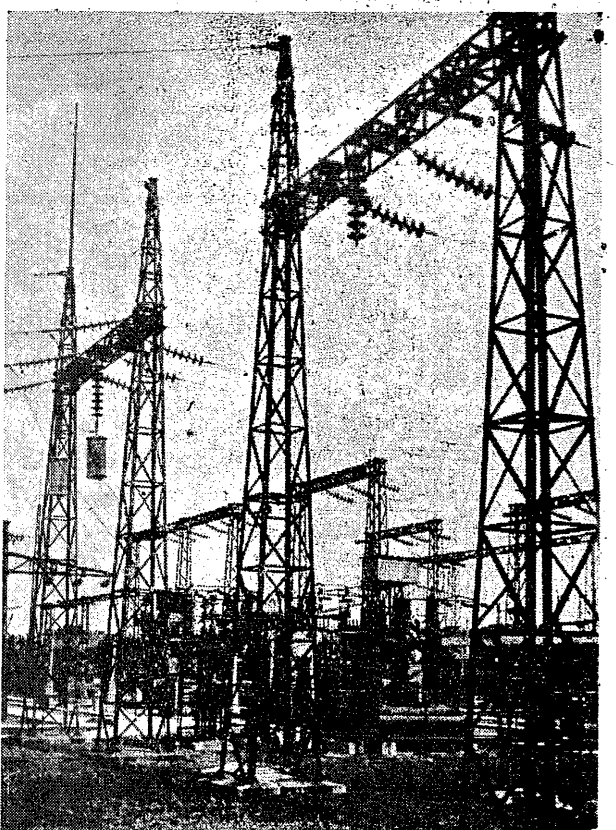
Nie dysponujemy bliższymi danymi co do tego, jaką część swego budżetu przeznaczają przeciętna rodzina na towary przemysłowe. Wpadnie się tu oprzeć na danych z czechosłowackiego czasopisma Planowane gospodarstwo nr 4/56. Trzeba przy tym pamiętać, że proporcje przytoczone przez czasopismo czechosłowackie należałoby u nas znacznie podwyższyć z uwagi na fakt, iż w CSR towary przemysłowe są znacznie tańsze, a poza tym są wyższej jakości. Jeśli orientacyjnie wg tych danych przyjmniemy, że kategoria pracowników zaopatrzających się 2.800 — 3.000 kalorii przeznaczająca na środki spożywcze towary przemysłowe mniej więcej 30% kwoty poświęcającej na środki spożywcze, otrzymamy sumę 114 zł miesięcznie na te produkty. Tak więc łączne wydatki



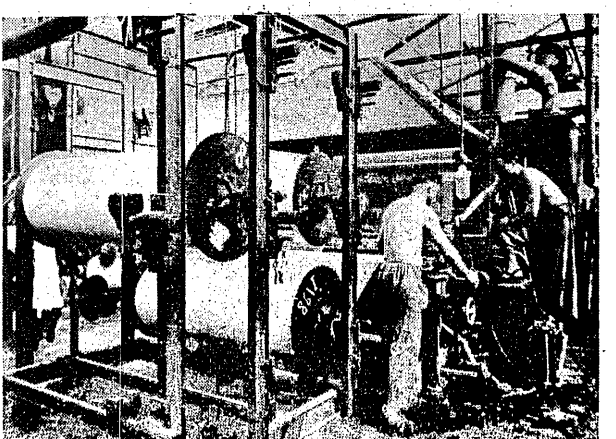
Wodowanie dziesięciotysięcznika „Bolesław Bierut”



Pierwsze urządzenia atomowe montowane w Polsce



Urządzenie energetyczne przy elektrowni wodnej w Dychowie



Polskie maszyny włókiennicze pracują w Bułgarii

AMERYKA ŁACIŃSKA — RYNEK KTÓRY CZEKA

IGNACY SACHS

W ubiegłym roku zaliczył się znaczny wzrost obrotów między Polską a niektórymi krajami Ameryki Łacińskiej, rokujący dalsze perspektywy rozwojowe. Polska dostarcza dziś m. in. na rynki amerykańsko-łacińskie obrabiarki, maszyny, ciągniki. Cechą charakterystyczną naszego wywozu do Ameryki Łacińskiej jest szybki wzrost udziału eksportu inwestycyjnego, tym bardziej znaczący, że ogólne obroty również wykazują wyraźną tendencję wzrostową.

Rozwój stosunków gospodarczych między Polską a krajami Ameryki Łacińskiej należy rozpatrywać w kontekście szybko rozszerzającej się wymiany między tym kontynentem a Związkiem Radzieckim i pozostałymi krajami obozu socjalizmu.

Dokładne cyfry obrotów między krajami Ameryki Łacińskiej a światowym rynkiem demokratycznym w roku 1955 nie są jeszcze znane, podpisane na rok 1955 układy przewidywały obroty w wysokości 500 milionów dolarów, w tym połowa mniej więcej przypadała na Argentynę. W stosunku do całokształtu obrotów handlowych Ameryki Łacińskiej (w 1954 roku wywóz 20 krajów Ameryki Łacińskiej wyniósł 5 959 6 mln dolarów a import 5 406 mln dolarów) suma ta jest jeszcze niewielka, ale charakterystyczna jest tutaj dynamika. W 1954 r. obroty te wyniosły 200 mln, w 1953 r. — 70 mln, a w 1948 r. 137 milionów dolarów. W obrotach handlowych Argentyny kraje obozu socjalizmu razem wzięte odgrywały w 1953 roku bodajże większą rolę od jakiegokolwiek pojedynczego rynku kapitalistycznego. W niektórych miastach występowały one również jako główny importer towarów urugwajskich. Wydawnie przez Departament Rolnictwa USA czasopismo „Foreign Agriculture” w numerze z lutego br. stwierdzało z zaniepokojeniem: „Handel z granicznymi Urugwaju zmienia, zdaje się, swój kierunek. Następuje znaczne obniżenie wywozu urugwajskiego do Stanów Zjednoczonych, podczas gdy wywóz do krajów bloku radzieckiego znacznie się zwiększa”. Obroty Brazylii ze światowym rynkiem demokratycznym w 1955 roku szacowano na 70 mln dolarów w porównaniu z 43 mln w 1954 roku. Mimo, że Brazylija utrzymywała w ubiegłym roku stosunki dyplomatyczne i handlowe jedynie z Polską i Czechosłowacją, a stosunki wyłącznie handlowe z Węgrami, istniała pośrednia wymiana z ZSRR (głównie za pośrednictwem Finlandii). Kawa brazylijska docierała na rynek radziecki, a Brazylijczycy spozywali chleb z pszenicy radzieckiej. Ze swej strony Chińska Republika Ludowa zakupowała w Brazylii bawełnę. Rząd prezydenta Kubitschka zapowiedział przedsięwzięcie kroków zmierzających do ustanowienia w niedalekiej przyszłości bezpośrednich stosunków handlowych z ZSRR.

Poważne zakupy cukru kubańskiego przez ZSRR uchroniły Kubę od wyjątkowo groźnego kry-

zysu. W 1955 roku Związek Radziecki zakupił za 700 tys. ton cukru. Nicolas Bravo, komisarz jednej z radiostacji w Hawanie oświadczył w programie z dnia 13.12.1955 r., że „dzięki zakupom radzieckim sezon cukrowniczy został uratowany” i domagał się następnie ustanowienia stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim.

Jeżeli analizując wymianę handlową kontynentu łacińskiego amerykańskiego w 1954 r. ekonomista Komisji Gospodarczej ONZ dla Ameryki Łacińskiej mogli już dojść do wniosku, iż „handel Ameryki Łacińskiej ze Związkiem Radzieckim i krajami wschodniej Europy wzrósł w takim stopniu w ostatnich latach, że należy go uważać raczej jako pojawienie się nowego czynnika, niż zwykłe odnowienie dotychczasowego strumienia wymiany”, to wniosek ten odnosi się a fortiori do sytuacji obecnej.

Na taki oto podatny grunt padł wywiad premiera Bułgarii u dzielnego czasopismu „Vision” w styczniu 1956 roku. W wywiadzie tym premier radziecki wyraził gotowość nawiązania szerokoich stosunków dyplomatycznych i handlowych ze wszystkimi krajami Ameryki Łacińskiej, na bazie równouprawnienia i obopólnych korzyści. ZSRR mogłaby również udzielić pomocy technicznej. Szybki rozwój stosunków gospodarczych między ZSRR i innymi krajami obozu socjalizmu a Indiami, Burmą i Afganistanem oraz niektórymi krajami arabskimi stanowi dla krajów Ameryki Łacińskiej poglądowy dowód korzyści, jakie z kolei mogłyby czerpać one z analogicznego rozwoju. Nie należy więc się dziwić, że w komentarzach prasy północno-amerykańskiej po wywiadzie Bułgarii przebiegała pewna nuta niepokoju, angielski zaś „Manchester Guardian” stwierdził wręcz, że siła przetargowa krajów Ameryki Łacińskiej uległa znacznemu wzmocnieniu. W rzeczywistości po raz pierwszy kraje Ameryki Łacińskiej znalazły się w sytuacji, w której mogą myśleć o alternatywnym wyborze: monopolu mocarstw imperialistycznych — w pierwszym rzędzie Stanów Zjednoczonych — na stosunki z krajami tego kontynentu został naruszony. Nie należy oczywiście przeceniać dokonanej już wymiany w dotychczasowym międzynarodowym podziale pracy, wykastacowym przez imperializm. Jak już wspomnieliśmy, rozmiary obrotów między krajami Ameryki Łacińskiej a światowym rynkiem demokratycznym są jeszcze bardzo skromne. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że nawet przy bardzo szybkim wzroście sił wytwórczych w krajach obozu socjalizmu, cechującym naszą pianową gospodarkę i mimo potencjalnych możliwości wydatnego wzrostu obrotów jest mało prawdopodobne, aby ilościowe stosunki między krajami Ameryki Łacińskiej a naszym rynkiem mogły przekształcić się kiedykolwiek w czynnik decydujący w handlu zagranicznym tego

kontynentu. Ale zagadnienie to należy rozpatrywać jakościowo.

Po pierwsze, rozwijająca się wymiana z krajami obozu socjalizmu dostarczać będzie krajom Ameryki Łacińskiej coraz większej ilości niezbędnych dla rozwoju gospodarczego i uprzemysłowienia maszyn i instalacji. Pozwoli im ona na zwiększenie importu inwestycyjnego. Niewielkie w stosunku do ogólnej sumy obroty ze światowym rynkiem demokratycznym zawierają jednak według wszelkiego prawdopodobieństwa coraz większy udział importu inwestycyjnego i w pewnych przypadkach udział importu inwestycyjnego z krajów obozu socjalizmu w ogólnej puli importu inwestycyjnego może kształtować się wyżej niż udział w ogólnych obrotach. Ponadto import ten będzie pokrywany w formie dostaw surowców, więc bez kłopotów dewizowych. Tak jak w przypadku Indii, tego rodzaju przydatny margines importu inwestycyjnego, wyłączony z rachunku dolarowego czy nawet szterlingowego, może mieć decydujące znaczenie dla podejmowania programów uprzemysłowienia i modernizacji gospodarki.

W stosunkach ze światowym rynkiem demokratycznym handel zagraniczny krajów gospodarczo słabych — w tym przypadku krajów Ameryki Łacińskiej — spełniać ma funkcję, którą w stosunkach z krajami imperialistycznymi spełnia tylko w niewielkim stopniu, czynnika rozwoju gospodarki narodowej. Ponadto, powstająca możliwość alternatywy i sam fakt naruszenia wyłączności mocarstw imperialistycznych wpływa pośrednio na stosunki między krajami gospodarczo słabymi a krajami imperialistycznymi, zmusza te ostatnie do pewnych ustępstw, właśnie dlatego, że „pozycja przetargowa” krajów gospodarczo słabych, ulega wydatnemu wzmocnieniu. A zatem w tej formie pośredniej mamy do czynienia z pewnym ograniczeniem nieekwiwalentności w wymianie handlowej, z pewną tendencją — przejawiającą się zresztą nieśmiało i nierównomiernie — do wzmocnienia roli handlu zagranicznego jako czynnika rozwijającego gospodarkę narodową.

Nie jest zadaniem niniejszego artykułu dokonanie przeglądu obfitej literatury gospodarczej i politycznej zachodu, obierającej sobie za temat porównanie metod pomocy radzieckiej i pomocy amerykańskiej. Większość ekonomistów burżuazyjnych zdaje sobie dzisiaj sprawę, że przewaga radziecka polega właśnie na tym, iż pomoc ta oparta jest na stosunkach handlowych, opiera się na możliwości wszechstronnego rozwoju wymiany towarowej, ze względu na planowo rosnącą chłonność rynku demokratycznego i planowo rozwijający się przemysł środków pro-

dukcyj w krajach socjalistycznych, dysponujących z roku na rok coraz większym kontyngentem eksportowym tychże środków. Do tego należy dodać dogodne warunki kredytowe i brak jakichkolwiek warunków politycznych, w przeciwieństwie do pomocy amerykańskiej. Przykładowo można tu przytoczyć zdanie znanej ekonomistki angielskiej Barbary Ward, która na łamach „New York Times Magazine” (14.3.1956) pisała: „Zdaje się, że Rosjanie potrafią uzyskać więcej poparcia sprzedając, niż Zachód dając”.

Problem polega na tym, że obok przesłanek politycznych, amerykańskie programy pomocy miały między innymi na celu sztuczne załatwienie rwań się między narodowego podziału pracy i siatki wymiany towarowej. Trudności w tej dziedzinie występowały w stosunku niewielkim stopniu w odniesieniu do Ameryki Łacińskiej, a to z następujących powodów: po pierwsze Stany Zjednoczone importują poważne ilości surowców i tropikalnych artykułów rolnych z Ameryki Łacińskiej, po drugie kraje Ameryki Łacińskiej nagromadziły w okresie drugiej wojny światowej poważne rezerwy dolarowe (od szeregu lat wyczerpane już zresztą). Tym tłumaczyć należy — wraz z okolicznością iż w Ameryce Łacińskiej Stany Zjednoczone czują się politycznie jak dotychczas stosunkowo pewne — to, że w okresie powojennym kraje Ameryki Łacińskiej otrzymały nie więcej niż 1% amerykańskiej pomocy przeznaczonej dla zagra-

niczy. Ale nawet kraje Ameryki Łacińskiej odczuwały dotkliwie ciężar kryzysu, który ogarnął międzynarodowy kapitalizm. Podział pracy w wyniku wysunięcia się Stanów Zjednoczonych na pozycję hegemonu w świecie kapitalistycznym. Kraj ten ma potężną własną produkcję surowców i artykułów rolnych w przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii, której odebrał pierwszeństwo w świecie kapitalistycznym. Oto najważniejsze przejawy tego kryzysu w odniesieniu do Ameryki Łacińskiej:

1. Stany Zjednoczone zajmują dominującą pozycję na rynku kawy, dyktując jako największy konsument ceny światowe. Wahańa tych cen mają dla 14 krajów Ameryki Łacińskiej zasadnicze znaczenie. W samym tylko pierwszym kwartale 1955 r., w porównaniu z analogicznym okresem 1954 roku kraje Ameryki Łacińskiej poniosły 243,5 mln dolarów strat, w związku ze spadkiem cen kawy i kakao. Należy pamiętać, że w latach 1950—1954 kawa stanowiła aż 65% eksportu brazylijskiego (w tym 80% na rynek USA) i była np. źródłem 90% wszystkich otrzymywanych dewiz przez Kolumbię. Przemawiając w Unii Panamerykańskiej w kwietniu br.

prezes Panamerykańskiego Biura Kawy Andres Uribe wskazał, że bez stabilizacji cen kawy kraje Ameryki Łacińskiej nie mogą podjąć systematycznego wysiłku nad rozwojem gospodarczym.

„W jakim stopniu mogą przemysłowcy względnie rząd planować, gdy znaczna część kapitału inwestycyjnego pochodzi z należności za towary, którego cena spadła o 40% na przestrzeni dwóch ostatnich lat?” — zapytywał p. Uribe. Odpowiedź jest jasna. Kraje Ameryki Łacińskiej nie mogą myśleć o oparciu uprzemysłowienia na bardziej trwałych podstawach tak długo, póki nie nastąpi stabilizacja cen ich surowców i nie uzyskają one stałego parytetu — domagały się tego bezskutecznie na Międzyamerykańskiej Konferencji Gospodarczej w Rio de Janeiro w grudniu 1954 r. — między cenami eksportowanych surowców a importowanymi artykułami przemysłowymi.

Podobne rozumowanie jak w sprawie kawy można przeprowadzić w stosunku do wszystkich niemal minerałów, z tą dodatkową różnicą, że np. w wypadku miedzi Stany Zjednoczone — dzięki barierom celnym — mogą rozwijać produkcję krajową i wykorzystywać dodatkowo ten czynnik w kształtowaniu cen miedzi łacińsko-amerykańskiej. Wahańa cen surowców strategicznych są ponadto funkcją sytuacji politycznej i prowadzonej przez USA polityki gromadzenia zapasów strategicznych.

2. Dla szeregu krajów, jak np. Urugwaj i Argentyna w dziedzinie zbóż, oraz Peru, Brazylija, Meksyk, Argentyna i inne w dziedzinie bawełny, Stany Zjednoczone są niezwykle niebezpiecznym konkurentem na rynku światowym, dysponującym ogromnymi nadwyżkami, których zrzucają na rynek może mieć dla krajów Ameryki Łacińskiej wręcz katastrofalne skutki. Należy przy tym zaznaczyć, że Stany Zjednoczone plasując część nadwyżek w ramach pomocy, względnie zawierając takie transakcje jak zakup brazylijskiego toru w zamian za 100 tys. ton pszenicy, konkurują już w chwili obecnej z Argentyną na jej tradycyjnych rynkach łacińsko-amerykańskich. W związku z decyzją Stanów Zjednoczonych w sprawie rzucają na rynek nadwyżki bawełny, delegat Urugwaju wystąpił na posiedzeniu Międzyamerykańskiej Rady Gospodarczej i Społecznej 13 m. rca br. z ostrą krytyką polityki dumpingowej prowadzonej przez Stany Zjednoczone. Jak doniosło czasopismo „Vision” oskarżył on Stany Zjednoczone o niehonorowanie porozumień międzynarodowych i o nieprzestrzeganie zasady konsultacji obowiązującej de jure w stosunkach międzyamerykańskich. Wystąpienie delegata Urugwaju jest sympto-

matyczne dla nastrojów panujących obecnie w Ameryce Łacińskiej.

3. Dodatkowe rozgoryczenie przynosi wspomniany już fakt, że Ameryka Łacińska jest systematycznie pomijana w tzw. planach amerykańskiej pomocy, a prywatne kapitały północno-amerykańskie przypływają w niewielkich ilościach (suma odprowadzanych zysków przekracza dwukrotnie inwestowane po drugiej wojnie kapitały prywatne) i dośrodkowo lokują się w przemyśle. Stany Zjednoczone uczestniczące w około 50% w handlu zagranicznym Ameryki Łacińskiej (w 1954 r. 56,7% po stronie importu i 41,1% po stronie eksportu Ameryki Łacińskiej) narzucają im typ wymiany, w którym z jednej strony dają, a z drugiej import inwestycyjny jest wciąż jeszcze zbyt mały, a zbyt dużo dewiz pochłania import trwałych środków konsumpcyjnych.

W przeciwieństwie do tego obrazu rozwinięte stosunki z krajami obozu socjalizmu mogłyby zapewnić stabilność (jak donosił z zaniepokojeniem praski korespondent „New York Times” z 18.2.1956 r., Czechosłowacja gotowa jest podjąć negocjacje w celu zawarcia dwustronnych układów w sprawie stabilizacji cen surowców), możliwość zbytu na długie lata, uodpornić kraje Ameryki Łacińskiej na wahańa koniunktury na rynku światowym, wzmocnić ich niezależność w stosunku do Stanów Zjednoczonych i stworzyć im możliwość zapoznania się z ostatnimi zdobyciami techniki bez warunków politycznych i uciążliwych klauzul gospodarczych. Kryzys w międzynarodowym kapitalizmie podziela pracę stwarza przesłanki dla trwałego rozwoju stosunków między krajami gospodarczo słabymi a światowym rynkiem demokratycznym. Jest to prawidłowość występująca dziś dosyć wyraźnie w Azji i krajach arabskich i zarysowująca się również w odniesieniu do Ameryki Łacińskiej, gdzie jak dotychczas na pierwszy plan wysuwają się jednak problemy związane z zaostrzoną konkurencją między Stanami Zjednoczonymi a krajami Europy wschodniej. Zaostrzenie tej konkurencji — której analiza wychodzi poza ramy niniejszego artykułu — jest zresztą ściśle związane z poprzednio omówionymi zjawiskami i na obecnym etapie również przyczynia się w pewnej mierze do wzrostu samodzielności krajów Ameryki Łacińskiej. Wrześniowa Międzyamerykańska Konferencja Gospodarcza w Buenos Aires pozwoli zapewne na stwierdzenie w jakim stopniu omówione tu procesy gospodarcze rzutują na usamodzielnienie się krajów Ameryki Łacińskiej oraz na stanowisko Stanów Zjednoczonych.

Rynki światowe i handel międzynarodowy

Światowa produkcja i handel ryżem

Ostatnia wojna dotknęła mocno szeregi krajów azjatyckich, będących głównymi producentami ryżu i spowodowała znaczne zmniejszenie się produkcji tego artykułu, będącego podstawą pożywienia większości ludów azjatyckich. Zbiory ryżu np. w 1945 roku były o 25 mln ton mniejsze niż przed wojną. Po wojnie punkt zczy-

stowy produkcja ryżu osiągnęła w 1953 roku, kiedy przewyższyła produkcję przedwojenną o 21% wynosząc 122 mln ton. W tym samym czasie światowa produkcja pszenicy wzrosła o 33%.

Poniżej zamieszczone zestawienia obrazują areal uprawy i zbiory ryżu według obszarów.

	Areal w tys. ha		Produkcja w tys. t.	
	1934-38 przeciętnie	1954	1934-38 przeciętnie	1954
Europa (bez ZSRR)	220	410	1 130	1 730
Pln. i Centr. Ameryka	540	1 470	1 340	3 000
Południowa Ameryka	1 190	2 840	1 320	4 580
Azja	1 350	2 900	2 180	3 700
Azja (bez Chin)	62 000	70 600	94 500	102 000
Oceania	10	30	50	120
Razem	65 810	78 250	100 870	115 130

Wzrost płoń ryżu w ostatnich latach zawiązuje się wyłącznie zwiększeniu arealu uprawy. Azja, która przed wojną miała 2 mln ton globalnej nadwyżki ryżu, po wojnie stała się importerem tego zboża. Brazylija, Egipt i USA znacznie zwiększyły swoją produkcję, stając się eksporterami ryżu, i nawet Europa (Włochy) zaczęła wywozić ryż do Azji.

Radykalne zmiany w handlu światowym ryżu nastąpiły w końcu 1952 roku, wysokie bowiem ceny na ryżu pobudziły do powiększenia powierzchni uprawy pól ryżowych, szczególnie w krajach importujących. W okresie 1952—1953 import ryżu do Indii zmniejszył się o trzy czwarte, do Indonezji — przeszło o połowę itd. Szczególnie gwałtownie spadł eksport ryżu z USA i Włoch, gdzie powstały znaczne re-

zerwy. Na trudności eksportowe napotkała również Burma. W Związku z „nadprodukcją” ryżu USA zmniejszyły w 1955 roku obszar zasiewów tej kultury o 29% w stosunku do roku poprzedniego.

Europa przed wojną importowała około 1,5 mln ton ryżu rocznie. Po wojnie import spadł do jednej czwartej ilości przedwojennej, w latach zaś 1952 i 1953 nastąpiło wyrównanie importu z eksportem.

Pomimo ogólnego wzrostu konsumpcji ryżu w świecie nie przewiduje się braku artykułu w najbliższej przyszłości. Według oszacowań kół fachowych ONZ zapotrzebowanie na ryż w 1956 roku niewiele przewyższy poziom 1955 roku, a plany 1955—56 r. wystarczają na zaspokojenie popytu bez naruszenia istniejących zapasów.

Rynek cukru w I kwartale 1956 r.

Położenie na rynku cukru w I kw. br. uległo poważnym zmianom w porównaniu z ostatnimi miesiącami roku poprzedniego. Począwszy od stycznia ceny na cukier zaczęły się podnosić i wkrótce przekroczyły minimalną granicę, ustaloną przez Międzynarodowe Porozumienie Cukrowe na 71,65 dol. za tonę cukru nierafinowanego, pomimo iż produkcja cukru w 1955—56 roku wzrosła o 700 tys. ton. Ten wzrost produkcji przypada głównie na Europę (500 tys. ton), gdzie sezon produkcyjny zakończył się już kilka miesięcy temu.

Największy wpływ na rynek wywiera sytuacja na Kubie, na której udział przypada około 13% produkcji i przeszło 30% eksportu cukru krajów kapitalistycznych. Na 1 stycznia zapasy cukru na Kubie stanowiły 1 684 tys. ton, potem zaś produkcja w bieżącym sezonie ustalono na 4,7 mln ton.

Eksportowe zapasy krajów europejskich w tym sezonie są nieduże.

W ciągu I kwartału jedynym wielkim eksporterem cukru w Europie była Francja. Eksportowe zapasy francuskiego cukru, biorąc pod uwagę produkcję i konsumpcję, oblicza się mniej więcej na 276 tys. ton.

Zapasy cukru w Anglii są znacznie mniejsze niż w roku ubiegłym. Na dzień 1 lutego 1956 roku tworzyły one 1 032 tys. ton wobec 1 452 tys. ton w roku poprzednim.

Oprócz Anglii i Francji niewielkie zapasy mają jeszcze Belgia i Holandia.

Zwyczajową tendencją cen na rynku cukru w I kwartale 1956 roku uważa się za zjawisko przemijające, gdyż istniejące na rynku zapasy cukru wystarczają na pokrycie zapotrzebowania.

Na giełdzie nowojorskiej za tonę cukru nierafinowanego płacono w styczniu 71,91 dol., w lutym — 72,33 dol. i w marcu — 73,54 dol., a w Londynie za cukier rafinowany w 1956 r. w początkach każdego miesiąca płacono za tonę w styczniu 107,47 dol., w lutym — 108,16 dol., w marcu — 110,92 dol. i w kwietniu — 111,61 dol. (nm).

Bawełna egipska

Na rynku bawełny w Egipcie daje się zauważyć obecnie duże ożywienie. Wzrosło zapotrzebowanie na egipską bawełnę krajów zachodnioeuropejskich — Anglii, Francji, Holandii, NRF oraz Japonii. Ponadto rząd egipski zajął się sprawą eksportu bawełny do USA. W tym celu pozwolono na import do Egiptu amerykańskiego tytoniu Virginia pod warunkiem jednak, iż USA będą kupowały bawełnę egipską.

W obecnym sezonie (od dn. 1 września 1955 r. do końca marca 1956 roku) eksportowano z Egiptu 211,1 tys. ton wobec 151,8 tys. ton, w tymże okresie ubiegłego roku.

Ogólne zapasy bawełny w Egipcie na 1955—56 rok (łącznie z planami 1955—56) wyniosły 424,1 tys. ton, a w dniu 1 kwietnia 1956 roku, po potrąceniu eksportu i konsumpcji wewnętrznej od początku sezonu do dnia 31 marca, wynosiły 52,8 tys. ton. Przewiduje się, iż do końca sezonu Egipt zlikwiduje te 52 tys. ton bawełny bez trudności. (nm)

Układ Indie — ZSRR

W New Delhi w kwietniu podpisano układ między Indiami a Związkiem Radzieckim w sprawie stałej komu-

nikacji morskiej pomiędzy Kalkutą i Bombajem w Indiach a Odessą i Noworosijskiem na Morzu Czarnym w Związku Radzieckim. Każda ze stron ma uruchomić na tej linii po 6 statków o ogólnej pojemności około 55 tys. ton. Pod względem handlowym każda ze stron działa samodzielnie i sama ponosi odpowiedzialność za wyniki finansowe uruchomionych przez siebie statków.

Plany ruchu statków układa się na trzy miesiące naprzód za obopólnym porozumieniem. (nm)

Eksport Brazylii

Eksport Brazylii w 1955 roku wyniósł 6,2 mln ton, na sumę 54,5 mld kruczków, tj. o 1,9 mln ton (o 44%) i 11,5 mld kruczków (o 27%) więcej niż w roku poprzednim. Wzrost eksportu został spowodowany głównie zwiększeniem wywozu rudy żelaznej, kawy i cukru. (nm)

Japońska ekspansja

Przemysł japoński przystępuje do ofensywy ekonomicznej na wielką skalę w Brazylii. W Sao Paulo koncern „Toioldo” ma zamiar wybudować fabrykę części zapasowych do samochodów, przy czym przewiduje się, iż w niedalekiej przyszłości fabryka ta zacznie produkować również podwozia i motory samochodowe. Będzie to pierwszy zakład samochodowy japoński, wybudowany za granicą po wojnie.

Para Jętsu Amazonki k-40 miasta Para Inny koncern planuje budowę stoczni okrętowej kosztem 700 mln yen. Będzie się tam budować okręty wojenne o pojemności 1 tys. ton oraz maszyny i motory. Stocznia będzie obsługiwana przez japońskich techników.

Firma „Miat” traktuje o „budowę fabryki rowerów, a Towarzystwo Pomocy Technicznej, mające za zadanie remont maszyn i sprzętu technicznego za granicą, przystępuje wkrótce do budowy w Brazylii zakładu remontowo-mechanicznego, który ponadto będzie wyrabiał części zapasowe.

Największą jednak imprezą japońską w Brazylii będzie budowa huty koło miasta Santos. Odpowiednią propozycję rządu brazylijskiego rozpatruje obecnie japońskie towarzystwo ekspertów sprzętu technicznego. Huta ta między innymi ma produkować przynajmniej 250 tys. blachy stalowej rocznie. (nm)

Nasz przemysł stoczniowy

Przemysł okrętowy jest dziś — jak wiadomo — jedną z najpoważniejszych gałęzi przemysłu maszynowego. W okresie budowy okrętów socjalistycznych w Polsce nastąpił szybki, burzliwy rozwój tego przemysłu. Duże osiągnięcia budownictwa okrętowego są tym cenniejsze, że przed wojną gałąź ta w ogóle nie istniała.

	1940	1950	1951	1952	1953	1954	1955
Ilość wyprodukowanych jednostek	2	3	4	22	40	42	53
ogólny tonaż w TDW	5080	7620	4390	41210	64700	77260	102140

W sumie w okresie planu 6-letniego przemysł okrętowy wyprodukował 165 jednostek pełnomorskich o łącznym tonażu 287 tys. TDW. Jakiego typu były to statki? Zobrazuje to — m. in. zestawienie, w którym w nawiasach podana została ilość jednostek przeznaczonych na zasilenie własnej floty (pozostałe poszły na eksport — głównie do Związku Radzieckiego, do krajów w bloku, a także do Chin Ludowych).

Trampy parowe 5000 TDW 24(2)
Rudoweglowce parowe 2000 TDW 27(1)
Lewanty parowe 4000 TDW 3(3)
Weglowce parowe 3200 TDW 12(1)
Drobnicowce motorowe 820 TDW 33(5)
Drobnicowce motorowe 600 TDW 5(3)
Trawlerzy rybackie 450 TDW 61(10)

Oprócz tego w stoczniach morskich wyprodukowano jeszcze 39 lugratów, kutrów rybackich i 68 rybackich kutrów stalowych, których nie zalicza się do jednostek pełnomorskich. Tak więc, jeżeli chodzi o ilość budowanych statków, plan 6-letni przemysłu okrętowego zamyka się niewątpliwie bilansem dodatnim. W okresie nowoczesnej techniki budowy okrętów jesteśmy jednak wciąż jeszcze o 5—6 lat opóźnieni w rozwoju w porównaniu z innymi krajami produkującymi w budownictwie okrętowym. Do zainicjowania natomiast mamy poważny sukces polegający na uruchomieniu w kraju niemal całej produkcji potrzebnej do wyposażenia statków. Świadczy o tym najostrzejszy fakt, że import wyposażenia dla jednostek budowanych w kraju zmniejszył się z 35% do około 5% i ogranicza się przede wszystkim do urządzeń nawigacyjnych. W planie 6-letnim przemysł okrętowy wprowadził 8 nowych typów statków pełnomorskich. Będą to:

Drobnicowce motorowe o tonażu 10 tys. TDW, których do końca pięcioletniego wyprodukujemy 2
Tankowce motorowe 18 000 TDW 2
Bazy rybackie 9000 TDW 2
Drobnicowce motorowe 600 TDW 11
Trawlerzy — przetwórcy 1000 TDW 3
Trawlerzy rybackie 650 TDW 4
Trawlerzy rybackie 300 TDW 102
Iolowniki parowe 600 TDW 24

Poza tymi typami budować będziemy w dalszym ciągu dotychczasowe typy i w ciągu pięcioletniej wybudujemy 59 trampów 5000 TDW, 35 wegłowców 3200 TDW, 2 drobnicowce 820 TDW i 28 trawlerów 450 TDW. Ogółem w okresie planu 6-letniego polskie stocznie zbudują 292 jednostki pełnomorskie o łącznym tonażu 793 tys. TDW, co stanowi ponad 2,5-krotnie więcej niż w planie 6-letnim.

Według wstępnych założeń i na podstawie posiadanego portfolio zamówień zagranicznych przewiduje się, że z ogólnego tonażu wybudowanego w pięcioletnim okresie 177 tys. TDW trafi na flotę handlową i rybacką, reszta zaś przeznaczona zostanie na eksport.

Trzeba dodać, że możliwości produkcyjne naszych stoczni są większe, jednakże wielkość produkcji limitowana jest dostawami materiałowymi i kooperacją. Największą bolączką przemysłu okrętowego jest także terminowość dostaw maszyn napędowych oraz terminowość dostaw urządzeń nawigacyjnych z importu. Przedstawiony tu obraz rozwoju przemysłu okrętowego nie byłby pełny, gdybyśmy nie wspomnieli, jaka jest nasza pozycja w świecie pod względem budownictwa okrętowego. Według ilości budowanych statków, wszystkie państwa można podzielić w zasadzie na 4 grupy. Do pierwszej grupy państw produkujących około 1 mln TDW rocznie należą w kolejności: Anglia, Japonia i Niemcy zachodnie. Drugą grupę o produkcji 120 mln TDW rocznie stanowią: Francja, Włochy, Szwecja i Holandia. Polska ze swymi 102 tys. TDW w roku 1955 znajduje się w tej samej grupie (100—200 tys. TDW rocznie), co Dania, Belgia i Norwegia i zajmuje 11 miejsce. Pozycja ta oraz sąsiedztwo takich znanymi z tradycji budownictwa okrętowego krajów, jak Dania, F-10 i Norwegia, jest dla nas niewątpliwie zaszczytne. Za nami w czwartej grupie znajdują się takie państwa, jak Finlandia, Hiszpania i Jugosławia. Trzeba przy tym zaznaczyć, że Związek Radziecki nie został w tej klasyfikacji uwzględniony z powodu braku danych porównawczych. W pięcioletnie mamy realne szanse, by w 1960 roku wyprodukujemy 203 tys. TDW, przesiadając wyprzedzającą większość państw świata, a w 1965 — 3 mln 500 tys. TDW, co da nam 1 miejsce w świecie. Będzie to niewątpliwie sukces dla naszego młodego przemysłu okrętowego. (r)



Port w Gdyni

Łopoczące na wietrze żagielki i chorągiewki, kadzidla świeczek wśród wianków, dymy ognisk rozpalanych w tegoroczne Dni Morza — wszystko to nie może stać się w roku 1956 fasadą, którą ukrywa się znojna i bardzo często jeszcze niebezpieczna praca rybaków i marynarzy, bezduszność i ślimaczenie wielu ogniw administracji i jej błędy, wiele kosztujące społeczeństwo.

Nie negując osiągnięć naszej żeglugsy morskiej, portów i rybołówstwa, o których w przeszłości dostatecznie dużo już napisano, przyjrzyjmy się bliżej dotkliwym brakom w pracy przedsiębiorstw gospodarki morskiej, niezasadnionemu zahamowaniu rozwoju tonażu floty handlowej i modernizacji polskich portów.

Wprawdzie tonaż polskiej floty handlowej (wynoszący na koniec 1955 roku 331 000 DWT) jest obecnie prawie 4 razy większy niż przed wojną, lecz jest on równocześnie o 47 proc. mniejszy od liczby ustalonej w ustawie o planie 6-letnim. Planowany na okres 1949-1955 przyrost nowego tonażu floty handlowej został wykonany zaledwie w około 30 proc.

Niezmiernie powolne tempo wzrostu tonażu floty handlowej, przy równoczesnym postępującym od 1953 roku ożywieniu obrotów naszego handlu zagranicznego z krajami zamorskimi, pociągnęło za sobą 3,5-krotne zwiększenie (w roku 1955 w porównaniu z rokiem 1953) wydatków dewizowych na przewozy własnych towarów obcą flotą. Tylko za sumy zapłacone obcym armatorom w roku 1955 z tytułu przewozów polskich towarów można by zakupić 9 statków o nośności 10 000 DWT każdy.

Ministerstwo Żeglugsy od dwóch lat dobiło się w PKPG i w MHZ o zwiększenie dostaw statków z własnego przemysłu stoczniowego (większa część produkcji naszych stoczni kierowana jest na eksport), albo — też — przeznaczania większych „sum” dewizowych na zakup za granicą nowych jednostek. Starania te na ogół nie odniosły rezultatów.

Brak wystarczających sum dewizowych na zakup za granicą nowego tonażu powodował konieczność kupowania znacznie tańszych, a co za tym idzie starszych i mało wydajnych statków. Zakup starszych statków, aczkolwiek dla bilansu dewizowego państwa niewątpliwie opłacalny, powodował, że stan techniczny floty handlowej jako całości nie uległ na przestrzeni ostatnich lat polepszeniu. 27,5 proc. tonażu polskiej floty handlowej liczy 25 i więcej lat,

podczas gdy w skali światowej statki o takim wieku stanowią tylko 17,4 proc. Statki liczące 15 — 25 lat stanowią w PMH około 20 proc., a w skali światowej — niecałe 9 proc. Komentarz zbyt techniczny. Koszty eksploatacyjne starszych statków zakupywanych ostatnio za granicą są na ogół bardzo wysokie, co oczywiście wpływa negatywnie na zwiększenie atrakcyjności naszej floty dla kontrahentów zagranicznych, których towary idą tranzytem przez porty polskie.

Powolne tempo rozbudowy tonażu floty handlowej, poza niekorzystnym oddziaływaniem na bilans dewizowy państwa, miało również i inne negatywne skutki. Wielu marynarzy i oficerów PMH o długoletniej praktyce — wobec niedostatecznego tempa przyrostu nowego tonażu oraz istniejących w przeszłości lewackich, awanturniczych przebiegów w polityce kadrowej (głównym ich patronem był dyrektor Wawro, który przeszedł z Ministerstwa Żeglugsy do PKPG) — nie pracując w wyciecznym i umiłowanym zawodzie. Powstawało uzasadnione i niezasadnione rozgoryczenie wśród marynarzy, którym nie dano możliwości pracy w swoim zawodzie. Również i wielu chętnych z młodzieży nie można było przyjąć do szkół morskich, aby nie dopuścić do tego, że młody człowiek po ukończeniu szkoły nie będzie mógł pracować w swoim zawodzie.

Wartość usług wypracowanych przez jednego pracownika PMH w roku 1955 wyniosła około 28 tys. złotych dewizowych (czyli 7 tys. dolarów amerykańskich). Chyba niewiele jest gałęzi produkcji w Polsce, w których efektywność dla gospodarki narodowej pracy jednego pracownika jest tak duża, jak we flocie handlowej. Mimo tej oczywistej prawdy, nie wszyscy posiadający kwalifikacje do pracy na morzu i chęć te kwalifikacje zdobyć, mogli być zatrudnieni we flocie. Mamy więc z jednej strony niewykorzystanie, istniejącej już — i potencjalnie — „energii ludzką” mogącą przynieść bardzo duże efekty gospodarcze, a z drugiej strony — wzrastające wydatki państwa za przewóz towarów obcymi statkami.

Wiele przyczyn ukształtowało w przeszłości to paradoksalne i niekorzystne zjawisko. Nie ulega jednak wątpliwości, że jedną z zasadniczych przyczyn, która zdecydowała o zahamowaniu tempa rozbudowy tonażu floty handlowej, był brak właściwej koordynacji polityki eksportowej (w zakresie eksportu statków) ze wzrastającym zapotrzebowaniem gospodarki narodowej i tegoż handlu zagranicznego na zwiększoną zdol-

WITOLD STRĄK

Na burzliwych morskich szlakach

ność przewozową własnej floty handlowej. Ten brak koordynacji był połączonej dość często z praktyką podejmowania szeregu decyzji nie na podstawie dokładnego i kompleksowego rachunku ekonomicznego, lecz na podstawie autorytetu osobistego.

Tonaż polskiej floty handlowej w 5-letnie według aktualnego projektu wzrosnąć o około 40 proc. dzięki dostawom statków z własnych stoczni. Udział przewozów własnej floty w ogólnych obrotach naszych portów wyniósłby wówczas — w roku 1960 — około 20 proc., wobec 15 proc. osiągniętych w roku 1955. Nie gwarantuje to jednak, że wydatki dewizowe, płacone obcym armatorom za przewozy polskich towarów zmniejszą w planie 5-letnim, w porównaniu z okresem 6-letnim. Wręcz przeciwnie, w świetle przewidywań dotyczących rozwoju naszego handlu zagranicznego z krajami zamorskimi, wydatki te raczej wzrosną. Dlatego też Ministerstwo Żeglugsy postuluje, niezależnie od dostaw z własnego przemysłu stoczniowego, zakup 19 statków oceanicznych ze stoczni zagranicznych. Szczegółowa kalkulacja wskazuje, że zakup ten jest wyjątkowo korzystny dla gospodarki narodowej. Koszt zakupu tych statków wyniósłby około 192 milionów rubli, a przewozy przez nie wykonane już w 5-letnie dadzą wpływ dewizowy netto w wysokości około 172 milionów rubli. Niestety dotychczas wniosek Ministerstwa Żeglugsy — uznany w zasadzie za słuszny — nie został jeszcze ostatecznie zaakceptowany.

Obroty towarowe portów polskich są obecnie mniejsze niż przed wojną. W roku 1953 porty polskie przeładowały 16,1 miliona ton, co oznacza spadek w porównaniu z rokiem 1937 o 34,5 proc. Spadek ten wynika ze zmiany — korzystnej dla rozwoju naszej ekonomiki — kierunkowości naszego handlu zagranicznego, z wielkiej dynamiki naszej wymiany handlowej ze Związkiem Radzieckim, krajami demokracji ludowej, z którymi większość obrotów odbywa się drogą lądową.

Słuszną konsekwencją zarówno zmiany kierunkowości handlu zagranicznego, jak i zmian strukturalnych całej naszej gospodarki, było ograniczenie inwestycji w portach morskich. Lecz ograniczenie to było słuszne tylko do pewnego czasu, bo już od roku 1953 notuje się w portach polskich ożywienie obrotów (w roku 1955 były one o przeszło 2 miliony ton większe, niż w roku 1953). Najbardziej „wzrost” występuje w obrotach „drobnych” — jako skutek „uprzemysłowienia” kraju — której przeladunku we wszystkich portach polskich były w roku 1955 dwukrotnie wyższe niż w roku 1949. Trzeba równocześnie podkreślić, że przeladunki drobny w roku 1955 w Gdańsku i Gdyni były o około 30 proc. większe, niż przed wojną w roku 1938.

Porty nie zostały niestety należycie przygotowane do sprawnego przeladunku wzrastających w ostatnich latach obrotów drobnych. Przyczyn tego należy się dośzukiwać już w samych założeniach planu 6-letniego, ustalających niefortunnie strukturę obrotów handlu zagranicznego, idących dro-

gą morską. Przy osiągnięciu w zasadzie przez nasze porty w 1955 roku globalnych obrotów przewidywanych ustawą o planie 6-letnim, obroty byłyby o 1,8 miliona ton (prawie o 20 proc.) mniejsze od założen planu 6-letniego, a obroty drobny byłyby o przeszło 1,1 miliona ton (przez 50 proc.) większe. Wynikiem tych odbiegających od rzeczywistości „założeń” jest — z jednej strony — bardzo małe wykorzystanie zastalowanego dużym kosztem (dewizowym) taśmowca do przeladunku węgla w porcie szczecińskim oraz — z drugiej — niedostateczne wyposażenie portów w dźwigi pływające i inny sprzęt niezbędny do szybkiego przeladunku drobny. Niedostateczne wyposażenie portów w połączeniu z szeregiem braków w organizacji pracy przynosi gospodarce narco-owej bardzo poważne straty. Tylko w roku 1955 straty naszej floty handlowej z tytułu przestojów w polskich portach szacowane są na 6 milionów złotych. Ponadto gospodarka narodowa ponosi dalsze straty wynikające z konieczności płaćenia większych stawek frachtowych oraz kar płaconych za przestój obcym armatorom.

Wypośażenie naszych portów w porównaniu z największymi portami zachodnio-europejskimi pozostaje znacznie w tyle. Przeliczając na długość eksploatowanych nabrzeży, w polskich portach znajduje się trzykrotnie mniej dźwignów niż w Rotterdamie, a nawet czterokrotnie mniej niż w Sztokholmie lub Hamburgu. szcze bardziej niekorzystne jest porównanie ilości holowników w naszych portach z holownikami portów NRF. Jeśli kwoty obecnie projektowane na inwestycje w portach, a m. in. na budownictwo mieszkaniowe (jeden z podstawowych warunków likwidacji straszającej gęstości kadr wśród robotników portowych) nie ulegną zwiększeniu, to nawet na koniec 5-letni polskie porty nie osiągną sprawności gwarantującej uniknięcie jakichkolwiek większych przestojów naszej floty.

Szybkie podniesienie sprawności naszych portów jest ponadto ważne ze względu na istniejące sugestie ze strony NRD co do znacznego zwiększenia jej tranzytu przez Szczecin, a również ze względu na istniejące nadal możliwości zwiększenia tranzytu czeskiego przez porty polskie.

W rybołówstwie morskim, którego połowy w roku 1955 były 9 razy większe, niż przed wojną, nie uniknięto również w polityce inwestycyjnej poważnych błędów. Nie w pełni wykorzystana duża chłódnia w Świnoujściu, w której np. w roku 1955 — wykorzystanie fabryki lodu wynosiło 27 proc., a zamrażalnia 7 proc., w mniejszym stopniu niewykorzystana chłódnia w Kołobrzegu — to jedna strona medalu. A druga — to brak dostatecznej powierzchni chłodzińczej i zdolności produkcyjnych fabryk lodu we Władysławowie i Darłowie. Zamrożona woda jedzie ze Świnoujścia do Władysławowa, ryba w Darłowie opala się na słońcu, a w Świnoujściu stoją puste komory chłodzińcze. W jednym miejscu wydano 70 tys. zł (dewizowych) na zakup maszyn do mycia skór, która od dwóch lat czeka na uruchomienie, w innym

znów zużyto wiele materiału i pracy ludzkiej na budowę transportera do segregowania i odfalowywania ryby, zapomniało się tylko, że biała ryba w tym porcie nie jest wyładowywana.

Pewna ołdy popchno równie przy rozbudowie floty rybackiej. Lugrotawler, którego koszt budowy jest przeszło dwukrotnie wyższy niż superkutra, łowi mniej ryby niż superkutra. Koszt 1 kg ryby z lugrotawlera jest prawie dwa razy wyższy niż koszt 1 kg ryby z superkutry. A takich lugrotawlerów wybudowano całą serię (40 szt.k.).

Przy szybkim wzroście połowów dorasta i śledzia nastąpiło zahamowanie rozwoju rybołówstwa przybrzeżnego. Już od kilku lat trwają w resorcie żeglugsy debaty nad typem kutra tzw. łososiowego, a tymczasem połowy łosia z roku na rok coraz szybciej spadają. Ostatnio stwierdza się, że łosia można łowić na każdym kutrze, trzeba tylko ustawić cenę dla rybaka tak, aby połowy łosia były dla niego równie opłacalne, jak połowy innej ryby.

Można by przytoczyć jeszcze sporo przykładów świadczących o tym, że w gospodarce morską w minionych latach rachunek ekonomiczny zbyt często był w niełasce, że głosy doświadczonych fachowców, eksploatatorów, ekonomistów trafiały w próżnię.

Nie ze wszystkich błędów zostały jeszcze wyciągnięte konsekwentnie wszystkie wnioski. Wynika to m. in. z nieumiejętności zdobywania się wielu ogniw resortu żeglugsy — przoduje w tym Centralny Zarząd Morskich Stoczni Remontowych i w mniejszym stopniu Centralny Zarząd Portów — na wnikliwą, samokrytyczną analizę wszystkich, niekiedy bardzo poważnych braków.

Nie chodzi tu przecież o ostateczne „bicie się w piersi” przez kierownicze osoby w resorcie żeglugsy. Chodzi głównie o to, by z błędów ci, którzy za ich powstanie są bezpośrednio lub pośrednio odpowiedzialni, wyciągnęli pełne wnioski i dążyli do poprawy sytuacji. Wtedy na pewno nie będzie się tak łatwo i lekko mówiło o wydatkowaniu dalszych 15 milionów złotych na adaptację taśmowca w Szczecinie oraz na idące za tym równoległe zastępowanie do transportu śródlądowego na Odrze kontenerów (z których przez taśmowca węgla ma być ładowany bezpośrednio na statki). Wtedy Ministerstwo Żeglugsy przekazałoby kompetentnym w szeregu drobniejszych spraw przedsiębiorstw, aby móc lepiej skoncentrować się na węższych problemach rozwoju gospodarki morskiej w planie 5-letnim i w dalszej perspektywie.

Śmiem twierdzić na podstawie własnych doświadczeń, gromadzonych w ciągu 7 lat pracy w Ministerstwie Żeglugsy, że do szybkiego przewyższenia wszystkich niedomagań niezbędne jest wzmocnienie — w czynnach a nie w słowach — kolegiatności, nie

mowiąc już o przywróceniu w pełni do łask naukowego rachunku ekonomicznego — przed podjęciem wszystkich węższych decyzji. A niestety kolegiatność w pracy Ministerstwa Żeglugsy jest nadal niedostateczna.

Niezaprawdę jest, że marynarze i rybacy, portownicy i szczeniowcy w tegoroczne Dni Morza będą defilowali z pochylonymi i zasmuconymi czołami. Bo błędy i niedomaganie w pracy gospodarki morskiej obciążają ich najmniej. Ludzie morza, mimo błędów i wypażeń, pracowali i to pracowali coraz lepiej.

Tysiące pracowników polskiego morza obchodzą będą tegoroczne swoje święto z dumą z osiągniętych sukcesów, a zarazem ze świadomością — wspólną w całym społeczeństwie — istniejących braków i błędów. Oni będą obchodzili tegoroczne Dni Morza z silną wolą, jak nigdy przed tym, usunięcia jednak wszystkich, co hamuje rozwój naszej floty i rybołówstwa, z wiarą, że na koniec planu 5-letniego tonaż naszej floty handlowej wyniesie przynajmniej 600 000 DWT, a połowy ryb morskich — 200 000 ton i że ryba złowiona przez rybaków docierać będzie szybko i sprawnie do konsumenta.

Rybakom i marynarzom wianki i chorągiewki braków nie przysługują, a ludzkiem organizmującym i planującym ich pracę — przysługują nie powinny.

NASI MINISTROWIE



Min. inż. Mieczysław Popiel — odpowiedzialny kierownik resortu żeglugsy od lipca 1950 r.

W okresie przedwojennym brał aktywny udział w ruchu rewolucyjnym, co przysporzyło mu więzienie i Berezę.

Od pierwszej chwili powstania Polski Ludowej zajmując kierownicze stanowiska w aparacie państwowym i partyjnym (2-ca kierownika resortu gospodarki narodowej i finansów PKWN, wice-minister przemysłu i handlu w rządzie tymczasowym, kierownik wydziału przemysłu KC PPR, kierownik wydziału komunikacyjnego KC PPR i KC PZPR).

CZY JESTEŚMY KRAJEM O ROZWINĘTEJ GOSPODARCE MORSKIEJ

Najbardziej charakterystycznymi wskaźnikami obrazującymi żeglugsę morską jest stan własnej floty handlowej oraz wielkość dokonanych przy jej pomocy przewozów. Dane te zestawiamy w tabelce obejmującej lata 1946-1955 oraz porównawczo rok 1938.

Jednostka miary	1938	1946	1949	1950	1951	1952	1953	1954	1955
Stan floty morskiej — własnej	ilość statków tys. TDW	23	114	202	226	333	280	279	311
Ładunki przewożone statkami własnymi	tys. ton mil. tonomil	845,7	1781	2247	2704	3939	2696	3010	7023

*) rok 1947.

Wyjaśnić trzeba, że duże zmniejszenie przewozów w tononaliach w 1954 r. w stosunku do r. 1953 spowodowane było przejściem części statków z linii chińskiej na obsługę linii południowo-amerykańskiej, na której przedmiotem chodziły statki czarterowane.

Jak wynika z tabeli, nasza flota handlowa zwiększyła się prawie czterokrotnie w porównaniu ze stanem przedwojennym. Wzrost ten jest jednak stosunkowo niezadowalający. Na skutek niedoceniania w latach ubiegłych znaczenia rozwoju polskiej floty transport morski pozostał daleko w tyle za potrzebami handlu zagranicznego. Udział polskiej bandery w przeladunkach naszych portów spadł w ostatnim roku planu 6-letniego do 16,6%. Jest to wskaźnik bardzo niski. Wystąpiło także bardzo niekorzystne zjawisko starzenia się naszej floty. Zjawisko to spowodowane jest zaku-

pem wprawdzie dewizowo rentownych, ale starych statków. Powoduje ono spadek konkurencyjności naszej floty w stosunku do statków innych państw w obsłudze przeladunkowej przez nasze porty. Wzrost w ostatnim roku planu 6-letniego jest duży wzrost w ostatnich latach sześciolatkich wydatków dewizowych na

transport morski. Gdyby dewizy wyplacone obcym armatorom obciążone zostały na zakup statków, nasza flota powiększyłaby się znacznie. W planie 5-letnim, przewiduje się wzrost tonażu floty handlowej do około 510 tys. TDW. Wzrost ten realizowany będzie głównie z własnego budownictwa okrętowego.

Miernikiem pracy i rozwoju portów jest wielkość przeladunków. Zobrazuje to tabela wielkości przeladunków wszystkich naszych portów morskich (Gdańsk, Gdynia, Szczecin) w okresie 1943-1955. Porównanie ze stanem przedwojennym możliwe jest tylko dla Gdyni. Ponadto dla zobrazowania ilości przeladunkowanych statków i ich rozłożenia na poszczególne porty zamieszczamy dane dotyczące ruchu statków w portach i ich wielkości (ilość statków oraz ich ładowność).

Jednostka miary	1938	1945	1946	1949	1950	1951	1952	1953	1954	1955
Przeladunki wszystkich portów morskich	tys. ton	917	7782	16907	15565	15590	12826	13517	15402	16683
Przeladunki portu Gdynia	tys. ton	917	7137	6880	5027	4995	4389	3902	4672	4757
Statki przechodzące przez ładowność w tys. NRT	ilość	837	4709	9247	8255	8578	7090	6907	6197	7915
W tym Gdynia i Gdańsk	ilość	746	4990	7839	7370	6728	6182	5956	6702	7228
Szczecin	ilość	897	4485	5373	4628	3830	2917	3190	3173	3539
	ilość	746	4770	5712	5107	4592	4201	3301	4616	4753
	ilość	224	2873	3518	4678	3173	3717	3024	4742	4732
	ilość	190	2127	2263	2148	1980	2055	2057	2406	2422

Tabela ta wymaga niewątpliwie komentarza. O ile, bowiem, poważny spadek przeladunków w latach 1952/53 tłumaczy się obniżeniem przeladunków węgla w związku z zahamowaniem kontaktów z zagranicą (z Szwecją i Anglią oraz napiętą sytuacją międzynarodową, o tyle ogólnie niski wskaźnik przeladunków naszych portów wymaga już bliższych wyjaśnień. Znajdujemy je w wywiadzie ministra żeglugsy Mieczysława Popiela udzielonym redakcji „Głos Pracy”.

Polowy ogółem (przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze i rybacy indywidualni) tys. ton

W tym przedsiębiorstwa państwowe tys. ton

Tabor dalekomorski (trawlerzy, supertrawlerzy) w tym przedsiębiorstwa państwowe jednostek

Kutry należące do przedsiębiorstw państwowych, spółdzielczych i rybaków indywidualnych jednostek

*) Niektóre statki były własnością kapitału holenderskiego.

(**) Rybacy indywidualni posiadają jeszcze pewną ilość mniejszych jednostek (łodzie, barkasy).

Czy jesteśmy krajem o rozwiniętej gospodarce morskiej? — takie pytanie postawiliśmy sobie w tytule. Nie sądzimy, aby powyższy niepełny przegląd porównawczy gałęzi gospodarki morskiej pozwalał na wyciągnięcie zasadniczych analitycznych wniosków. Jednakże na podstawie tego przeglądu można powiedzieć, że o

„Po duży wysiłek kraju nad odbudową zniszczonych portów, dalsze ich wyposażenie w urządzenia przeladunkowe i sprzęt oraz tabor pływający niestety nie nadążało za potrzebami. Wzrostem sprężenia przeladunkowym, dźwigami, magazynami jest stancowo, że pozostajemy w tyle za portami zachodnimi, pod względem uzbrojenia nabrzeży, holowników.

Wskaźnik wykorzystania urządzeń przeladunkowych przekraczający 2/3, co stanowi nadmierne obciążenie, kaletnie są niekorzystne. Nie przegolowaliśmy należycie portów na rozwój naszego handlu i handlu naszych sąsiadów, których obsługujemy. W związku z tym po wzroście w ubiegłych latach tranzytu, dał się ostatnio zauważyć jego spadek. Mówiąc o sytuacji portów, musimy podkreślić ofiarność załóg portowych, których wydatki, w 5-letnie wzrosła o 80%. Porty polskie nie zostały należycie wyposażone w światło, na trzy zamykano, co również jest zjawiskiem niekorzystnym. Powoził to nam co prawda wykonać zadania przeladunkowe, ale nie mogło zapobiec spadkowi konkurencyjności portów, ani stratom, jakie przynosił brak wyposażenia. W 1954 r. w roku najtrudniejszym w portach, straty bezpośrednie i pośrednie z tego tytułu szacuje się na około półtora miliona dolarów.”

„Zia praca naszych portów oraz spadek ich konkurencyjności łączy się ściśle z polityką inwestycyjną, prowadzoną w latach ubiegłych. Oto jak odpowiada minister Popiel na pytanie: czy w ubiegłym okresie wykorzystaliśmy najbardziej celowo fundusze inwestycyjne w portach?

„Niestety, nie odeszło się bez błędów. Zaliczyć do nich należy m. in. instalację bardzo kosztownego, importowanego za dewizy, taśmowca „Gisanta” w Szczecinie. Jego moc przeladunkowa wykorzystywana jest obecnie w niewielkim procencie, tylko przy transporcie kolejowym. W związku z tym projektujemy przystosowanie go do przeladunku z bark. Błędem był też zakup nie nadających się dla nas dźwignów węgierskich. Zresztą takich gmachów przeszłości znalazłbyśmy w Grecji.”

Trzeba jednak przyznać, że w sześciolatkę porty nasze wykonywały zadania trudniejsze i większe niż to przewidywał plan.

W zakresie połowów rybaków obserwowany stały znaczny wzrost obrotów ryby, przy czym wzrasta również udział przedsiębiorstw państwowych w tych połowach.

Oto zestawienie zawierające najbardziej charakterystyczne dane dotyczące rybołówstwa morskiego.

ile w zakresie budownictwa okrętowego dokonaliśmy wielkiego postępu i odgrywamy już znaczącą rolę w skali światowej, to w pozostałych dziedzinach gospodarki morskiej (w młynarstwie, w przemyśle rybactwa, w rybołówstwie morskiego) nie wykorzystaliśmy w pełni ubiegłych lat i pozostajemy jeszcze daleko w tyle za innymi państwami morskimi.

W masie i książkach ZAGRANICZNYCH

NERWOWE OBJAWY

Omawiając wyniki podróży do Londynu i Chruszczowa do Londynu „The Economist” zajął się jej stroną gospodarczą. Pisząc o tych sprawach w numerze z 5.V. br. tygodnik stwierdził, że goście radzieccy pozostawili konkretną ofertę zakupu w ciągu najbliższych 5 lat towarów o wartości 800-1000 mln funtów szterlingów w przeważnie bezpośredniego eksportu z Wielkiej Brytanii (w roku ubiegłym brytyjski eksport i reeksport do ZSRR wynosił 32 mln funtów). Niemal trzecia część obecnej listy obejmuje wytwory przemysłu maszynowego, od walcowni i obrabiarek do systemów elektrycznych, około 10% przypada na statki i doki, reszta zaś na półprodukty stali i innych metali, tradycyjne artykuły reeksportowe, jak kauczuk, wełna, kakao, wreszcie na inne towary.

W związku z propozycjami radzieckimi „Economist” zajmuje się ich aspektem politycznym i szansami realizacji, sprawami płatniczymi, realnością oferty ZSRR, wreszcie koniecznością rozluźnienia embargo, na towary strategiczne.

Tygodnik imputuje stronie radzieckiej chęć wykorzystania handlu zagranicznego dla „podzielenia narodów zachodnich i spowodowania rewolty opinii publicznej przeciwko embargo, sprzymierzonej na towary strategiczne.”

Aczkolwiek jednak oferta radziecka ma wyraźną stronę polityczną, należy traktować ją poważnie i analizować w ramach ścisłej ekonomicznej.

Analizując sytuację, „Economist” wymienia wśród towarów, jakie dostarcza ZSRR, rudę manganową, futra, skórę, konopie, bawełnę, sznurek, że Anglia nie zechce importować ich w o wiele większych rozmiarach niż dotychczas. Natomiast zniża reszowanie angielskie budzi, czy ZSRR mogłoby poważnie zwiększyć eksport drewna lub

go strategicznego — w tym samym mniej więcej czasie organ radzieckiego Ministerstwa Handlu Zagranicznego „Wnieszniaja Torgowa” (Nr 4/56) przytacza poważny artykuł pt. „Czy rozwój handlu ze wszystkimi krajami”.

Nawiązując do wpływu, jaki na rozwój życia w ZSRR, obozie socjalizmu i całym świecie wywiera XX Zjazd KPZR, mieszczyński stwierdza, że występujące naprężenia w sytuacji międzynarodowej i w ten sposób jest ważnym czynnikiem wzmocnienia państwa w całym świecie. Trwała współpraca międzynarodowa jest nie do pominięcia bez obrotu, który jest jej bazą i po ukształtowaniu się dwóch rynków światowych. Niezgodnie z zaprzeczonego faktu, że handel międzynarodowy i rozwój powiązań rzeczowych sprzyja stabilizacji naprężenia w sytuacji międzynarodowej i w ten sposób jest ważnym czynnikiem wzmocnienia państwa w całym świecie. Trwała współpraca międzynarodowa jest nie do pominięcia bez obrotu, który jest jej bazą i po ukształtowaniu się dwóch rynków światowych.

Wielcy wytwórcy o-brańców, wyposażenia elektronicznego czy urządzeń chemicznych mogliby rozszerzyć swą działalność w ZSRR, przede wszystkim, jeśli zostanie zniesione embargo strategiczne i — dodaje nieufnie „Economist” — jeśli usunie się rozstrzone dostarczenie ostatnich technik brytyjskiej, biorąc pod uwagę, że ZSRR nie należy do międzynarodowych konwencji patentowych.”

Podczas gdy czasopismo londyńskie oscyluje między nadziejami i wzmocnieniem politycznym, jakiego oczekuje dla Anglii wymiany i przybliżenia podmiotu, między zniżeniem stonnie i politycznej jedynie taktyki polityczno-gospodarczej a chęcią strażnicia stonnie narzucenie przez USA embargo.

Wielcy wytwórcy o-brańców, wyposażenia elektronicznego czy urządzeń chemicznych mogliby rozszerzyć swą działalność w ZSRR, przede wszystkim, jeśli zostanie zniesione embargo strategiczne i — dodaje nieufnie „Economist” — jeśli usunie się rozstrzone dostarczenie ostatnich technik brytyjskiej, biorąc pod uwagę, że ZSRR nie należy do międzynarodowych konwencji patentowych.”

Podczas gdy czasopismo londyńskie oscyluje między nadziejami i wzmocnieniem politycznym, jakiego oczekuje dla Anglii wymiany i przybliżenia podmiotu, między zniżeniem stonnie i politycznej jedynie taktyki polityczno-gospodarczej a chęcią strażnicia stonnie narzucenie przez USA embargo.

Wielcy wytwórcy o-brańców, wyposażenia elektronicznego czy urządzeń chemicznych mogliby rozszerzyć swą działalność w ZSRR, przede wszystkim, jeśli zostanie zniesione embargo strategiczne i — dodaje nieufnie „Economist” — jeśli usunie się rozstrzone dostarczenie ostatnich technik brytyjskiej, biorąc pod uwagę, że ZSRR nie należy do międzynarodowych konwencji patentowych.”

ICE

miedzy Polską a ZSRR tak skąd
po przenikaniu na łamy naszego
prasy? Czy naród polski jest
niezmiernie wdzięczny narodom
radzieckim za nieocenioną pomoc
ekonomiczną jaką otrzymaliśmy i
otrzymujemy. Systematyczne pu-
blikowanie materiałów z tej dzia-
łalności, publikowanie materiałów o
wymianie handlowej ze Związ-
kiem Radzieckim, która opiera się
na braterskiej współpracy a nie
na wileczym prawie konkurencji i
zysku — jeszcze bardziej zespolą
wizję przyjaźni naszego narodu
z Wielkim Krajem Rad. Ekono-
mici zaś będą mogli naukowo
pracować nowe, nieznanie nigdy
przed tym zjawiska na miedzyna-
rodowym rynku, socjalistycznym

Dotychczasowe ramy gospodarczej informacji prasowej winny być znacznie rozszerzone. Dotyczy to zwłaszcza wiadomości świadczących o poważnych brakach naszej gospodarki. Mamy zamrożonych inwestycji na sumę około 32 miliardów złotych. W przemyśle chemicznym leży niewykorzystanych maszyn, na sumę 2 miliardów złotych a jednocześnie przemysł ten nie oddał do użytku kilkunastu zaplanowanych fabryk. W 1955 r. dostarczono w ok. 400 tys. ton cementu, przeciwko 900 tysięcy ton tego produktu. Te i podobne in. wiadomości nie przedostały się do prasy. W mniemaniu czynników kompetentnych niektóre prawdy działają szkodliwie na opinię publiczną. Naszym zdaniem nie ma prawdy, którą należy ukrywać. Ukrywanie szkodzi tylko sprawie. Opublikowanie każdej nawet najbardziej przykrej dla nas sprawy, może tylko przyczynić się do uzdrowienia sytuacji w danej dziedzinie. Postawienie kierowników odpowiednich resortów pod przegląd opinii publicznej zmusi ich do usunięcia tych braków, do stworzenia warunków uniemożliwiających ich powstanie.

Wprowadzona ostatnio innowacja konferencji prasowej z udziałem przedstawicieli Rządu mają informować społeczeństwo o pracach Rządu. Jest to wielki krok naprzód w dziele rozszerzenia zakresu jawności. Zawarty jest w nim jednak tylko element pasywny. Chodzi również o to, by społeczeństwo było informowane o zamierzonych posunięciach Rządu, by w ten sposób mogło aktywnie wpływać na decyzje swej władzy. Przesłane uwagi ludzi pracy niewątpliwie mogą przyczynić się do ulepszenia posunięć Rządu. A poza tym wzmożni to zaufanie mas do władzy ludowej, wyeliminuje czynnik zaskakiwania społeczeństwa.

Rozszerzenia domagają się ramy informacji gospodarczej zza granicy. Nie widzę istotnych powodów, dla których wiadomości podawane w „Biuletynie Specjalnym PAP” nie mogłyby in extenso być podawane do wiadomości publicznej.

Jawność życia gospodarczego wymaga by łamy prasy były w pełni otwarte dla ludzi pracy. Tyłko w warunkach, gdy robotnicy będą mieli pewność, że każdy ich głos, nawet najbardziej krytyczny będzie opublikowany — można mówić o pełnej jawności. Fakt ten jest, że do tej pory znaczna część głosów ludzi pracy dostępna jest tylko dla niewielkiego kręgu osób. Wypowiedzi te powielane są w formie skryptów, (numerowane) i krążą między wierzchołkami aparatu administracyjnego partyjnego. Dlaczego nie może o nich wiedzieć opinia publiczna?

nocni to
tutowej,
kakiwa-

się ra-
czej z za-
nych pō-
domości
Specjal-
a exten-
domości

tego wy-
w peł-
cy. Tyl-
robotnicy

— moż-
ci. Fak-
znaczna
ostępna
o kręgu
elane są
herowa-
chołka-
jnego i
może o
iczna?

podjęć
istotów w
społecz-
szelkie-
prowa-
kregów
gadnie-
ne będą
runtow-
arki, na
spodar-
zdanie

i Rza-

ostulaty
ej pro-
gospo-
eść be-
liższego
nyślenia
życie.
kreślić,
ów po-
ajszyb-
y, jak
do slu-
ajacych

raków,
/gospo-

00812

ROK 1947... Wielka radość i dumy. Taśmę opuścił pierwsze polskie „czolgi pokojny” — „Ursusy”. Duma i radość była wówczas uzasadniona, tym bardziej, że zakład powstał z gruzów, że przed wojną Polska ciągników nie produkowała, że Państwowe Zakłady Inżynieryjne w Ursusie wytwarzały wtedy (między innymi)... policyne motopompy do rozpędzania demonstracji robotniczych.

Rosły nowe hale fabryczne, powiększała się załoga, wzrastała produkcja. Tysiąc, dwa, cztery tysiące, a w ostatnim roku sześć latki aż 7 750. Teraz nie ma już w Polsce człowieka, który by nie słyszał lub nie widział starszaka — „Ursusa”. Nie tylko w Polsce zresztą znane są „Ursusy” — eksportujemy je przecież do Brazylii, Grecji, Chin, Wietnamu oraz innych dalekich i egzotycznych krajów.

Można tu zadać pytanie: jak się to dzieje, że przy tak silnej konkurencji sprzedajemy nasze przestarzałe — jak każdemu wiadomo — ciągniki i to nawet do krajów kapitalistycznych, gdzie jest tak bardzo ostra walka o zby? Otóż w tej walce konkurencyjnej mamy szansę nie dlatego, że nasz ciągnik jest typem nowoczesnym, lecz właśnie bardzo starym, tak starym, jakiego nie produkuje już nikt na świecie. Eksploatacja bowiem nowoczesnych, skomplikowanych ciągników wymaga pewnego stopnia rozwoju kultury technicznej, „Ursus” zaś jest ciągnikiem nieskomplikowanym, ma prostą konstrukcję i jest łatwy do obsługi i naprawy — podstawowymi narzędziami potrzebnymi przy remoncie są... siekiera i młotek. Dlatego też nasz ciągnik znajduje pewien popyt w krajach słabo rozwiniętych pod względem technicznym. Można więc powiedzieć, że posiadamy w tym wypadku swego rodzaju monopol w handlu międzynarodowym — monopol na przestarzałe ciągniki. I to już oczywiście nie jest i nie może być przedmiotem naszej dumy narodowej, ani też źródłem jakichś większych korzyści ekonomicznych.

Co oznacza powszechnie znane słowo „przestarzały” — w odniesieniu do „Ursusa” — w języku konkretnych cyfr i faktów? Oznacza przede wszystkim to, że „Ursus” zużywa bardzo dużo paliwa (320 g na 1 km/godz.) — czyli prawie dwa razy tyle, co nowoczesne ciągniki o tej samej mocy. A więc połowa ilości ropy zużywanej przez wszystkie „Ursusy” w kraju to strata wynikająca z tego, że są one przestarzałe. Nie można zdobyć cyfr, jaka jest ta ilość. Można za to obliczyć, że 1 „Ursus” spala w ciągu roku około 28 ton ropy (przy założeniu 200 dziesięciogodzinowych dni pracy w roku: $320\text{ g} \times 45\text{ KM} \times 2\,000\text{ godz.}$). Wyprodukowano zaś ich dotychczas ponad 43 tysiące, z czego więcej niż połowa jeszcze pracuje w kraju.

Drugi element przestarzałości, to ciężar „Ursusa” wynoszący 3 560 kg, podczas gdy ciągniki nowoczesne o tej samej mocy ważą około 2 ton (np. Fordson), a więc o 1,5 tony mniej. Przy produkcji 8 tysięcy ciągników „daje” to straty w wysokości 12 000 ton stali, żelaza i innych metali.

Przytoczyliśmy straty, które można obliczyć w tonach ropy i stali. Innych nie da się obliczyć w wartościach wymiernych, co nie oznacza wcale, że są one mniejsze. Znajdują one swój wyraz w hamowaniu wzrostu wydajności pracy w rolnictwie. Takie bowiem ma znaczenie u „Ursusa” brak podnośnika hydraulicznego do narzędzi rolniczych i nieprzystosowanie do upraw międzyrzędowych. Inne jeszcze straty wynikające z wad w „Ursusie” dotyczą naszego najcenniejszego kapitału — człowieka. Chodzi o to, że silne drgania „Ursusa” występujące przy pracy silnika (silnik jednocylindrowy o układzie poziomym) są szkodliwe dla zdrowia traktorzysty, zaś hałasliwość pracy „Ursusa” również nie wpływa uzdrawiająco na tych wszystkich, którzy zmuszeni są tego słuchać.

Aby wyraz „przestarzały” był do końca jasny, trzeba podać wiek „Ursusa”. Wiadomo, że w naszych czasach maszyny starzeją się kilkakrotnie szybciej niż ludzie. „Ursus” natomiast jest produkowany według konstrukcji „Lanz-Buldoga” z roku 1925 i to produkowany bez żadnych zasadniczych zmian konstrukcyjnych. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że będzie on produkowany jeszcze do 1958 roku włącznie — a więc, że w 1958 roku będą seryjnie schodziły z taśmy ciągniki oparte na konstrukcji sprzed 33 lat — otrzymamy sprawę bez precedensu w rozwoju światowej motoryzacji.

Nieodparcie nasuwa się pytanie: dlaczego? Dlaczego tak się dzieje? W 1946 roku zdecydowano aby uruchomić produkcję „Lanz-Buldogów” z 1925 roku. Wtedy nie mieliśmy doświadczenia, kadr, bogatego parku maszynowego, a nawet dużych możliwości wyboru. Wtedy byliśmy w sytuacji podobnej do tych krajów, które obecnie są odbiorcami naszych ciągników. Zresztą nie warto w tym wypadku wracać do tak dalekiej przeszłości. Ale dlaczego przez następne 10 lat produkowaliśmy ciągnik, który już w chwili rozpoczęcia produkcji był poważnie przestarzały i to produkowaliśmy nie dokonując w nim żadnych zasadniczych zmian konstrukcyjnych? Przecież tyle się mówi o postępie technicznym, tyle organizuje się na ten temat narad, podkreślając deklaracyjnie, że dążenie do podstawowego prawa ekonomicznego socjalizmu związane jest z koniecznością postępu technicznego. Czyż w „Ursusie” nie ma zdolnych inżynierów,

czy kierownictwo zakładu i organizacji partyjna nie doceniają tego zasadniczego dla rozwoju gospodarki narodowej problemu? Oczywiście są wartościowi ludzie i wszyscy doceniają znaczenie postępu technicznego, a mimo to postęp techniczny stoi w miejscu.

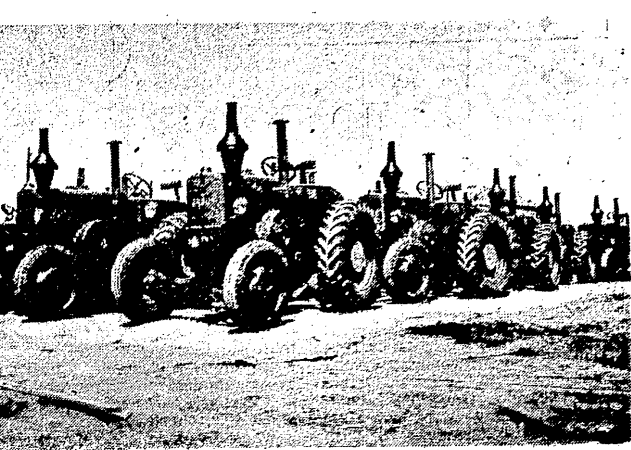
Dla uniknięcia nieporozumień spróbujmy jakiegoś postępu technicznego na myśli. W Zakładach Mechanicznych „Ursus”, jak zresztą i w innych zakładach wytwarzających środki produkcji, postęp techniczny może dotyczyć bądź samego procesu produkcji, bądź też samego wytworu produkcji. W pierwszym wypadku postęp techniczny będzie wyrażał się w unowocześnieniu, ulepszeniu i przyspieszeniu procesów produkcyjnych, technologii, w drugim wypadku w stałej modernizacji wyrobów — narzędzi, maszyn czy urządzeń. W artykule tym chodzi mi przede wszystkim o ten drugi rodzaj, jeśli można tak powiedzieć, postępu technicznego, o postęp konstrukcyjny. Nie trzeba zresztą udowadniać, że to właśnie jest decydujące dla postępu technicznego w ogóle, albowiem postęp techniczny w procesie produkcji każdego zakładu — zależy przede wszystkim od tego, jakimi narzędziami, maszynami i urządzeniami rozporządzamy. Mimo jednak, że modernizacja narzędzi, maszyn i urządzeń dla całej gospodarki narodowej i dla wszystkich zakładów, które się nimi posługują — jest korzystna, to dla każdego poszczególnego zakładu, który te środki produkuje, modernizacja ich jest niekorzystna. Powoduje bowiem

deficytowy artykuł jak ropa. A nowe silniki mogłyby pracować nie tylko w tych „Ursusach”, które jeszcze będą wytwarzane, ale także w tych, co są już w użyciu — poprzez wymianę przy kapitalnych remontach. Tak więc opłacało się zapłacić 80 tys. zł za opracowanie projektu nowego silnika, gdyby bowiem wszedł on do produkcji, to już w ciągu krótkiego czasu suma ta zwróciłaby się wielokrotnie. Silnik jednak do produkcji nie wszedł. Ministerstwo Przemysłu Motoryzacyjnego poleciło bowiem... przerwać wszystkie prace nad modernizacją „Ursusa”, ponieważ miał on być wycofany z produkcji w roku 1959. Można powiedzieć, że była to co się zowie dalekowzroczna polityka — na 4 lata przed zakończeniem produkcji ciągnika zaprzestanie jego modernizacji. Znalazł się wreszcie ktoś rozsądny w Ministerstwie, kto zrozumiał całą absurdalność takiej „dalekowzrocznej polityki” i decyzję cofnięto. Pozwolono, a nawet polecono prowadzić prace nad ulepszeniem „Ursusa”. Niewiele to jednak pomogło. Te same hamulce, które działały przedtem, działały nadal. Sprawa nowego silnika w dyskusji nad planem 5-letnim wypłynęła znowu na powierzchnię, trafiła do Komitetu Zakładowego PZPR, zrobiono wokół niej dużo „szumu”, lecz dało to skutki tylko na dalsze dwa miesiące. Obecnie znowu panuje cisza i jest wątpliwe, czy prototyp nowego silnika będzie gotowy przed... zakończeniem produkcji „Ursusów”. Nie świadczy to oczywiście chlub-

nie „Aktywiści w zakładzie starali się więc sami „dorobić” uzasadnienie. Zaczęto przebąkiwać o związku między wyborem „Białorusi” do produkcji, a zagadnieniem obronności kraju. Po skrytykowaniu „Białorusi” przez Premiera Bułgarii co gorliwsi zaczęli nawet uzasadniać, że „Białorus” w ZSRR jest już przestarzała, jednak u nas, na naszym etapie jest dobra” (autentyczne). Zrozumiałe jednak, że takie argumenty nikogo nie przekonywały, a wręcz przeciwnie.

Taka sytuacja ciągnęła się przez 2 lata. Kiedy w 1956 roku okazało się, że stan przygotowań do rozpoczęcia nowej produkcji jest niezadowolający, sprawa stała się ponownie na Prezydium Rządu. Zdecydowano ostatecznie, że trzeba produkować „Białorus”. Tym razem znalazły się argumenty — miliony złotych wyłożonych na zakup maszyn specjalistycznych i brak prototypu innego ciągnika. Jednakże argumenty te zostały stworzone przez poprzednią nie argumentowaną decyzję. Trzy lata temu nie istniały one — nie sprowadzono wówczas jeszcze maszyn i można było zrobić prototyp nowoczesnego typu.

Jeszcze kilka słów o sprawie „Białorusi”. W połowie maja br. grupa pracowników z „Ursusa” wyjechała do Mińska, do zakładu, który produkuje „Białorus” w celu wymiany doświadczeń. Na początku czerwca przysłali oni telefonicznie wiadomość, że Związek Radziecki wycofuje „Białorus” z produkcji jako ciągnik przestarzały



Brak bodźców materialnego zainteresowania — to brak zachęty do postępu technicznego dla zakładu, natomiast centralizacja pracy konstrukcyjnej w CBK — to brak możliwości dla wprowadzenia postępu technicznego przez zakład.

Doświadczenie wykazuje, że odrywanie teorii od praktyki jest szkodliwe zarówno dla jednej, jak i dla drugiej, a oto przykład z „Ursusa”: warunki techniczne na ciągnik „Ursus” opracowywano w CBK i w Dziale Głównego Konstruktora ZM „Ursus”. W tym samym czasie i tym samym kosztem CBK zrobiło 10 zespołów, a Dział

na do CBK dwóch ciągników doświadczalnych. Literaturę i czasopisma techniczne zabrano już z zakładu wcześniej. Nie chcę w tej chwili mówić o rozoryzowaniu, jakie wywołały te pomyślenia ministerstwa wśród załogi „Ursusa”. Chcę tylko stwierdzić, że biurokratyczna centralizacja pracy konstrukcyjnej jest drugim poważnym hamulec postępu technicznego, który trzeba zlikwidować tak jak i pierwszy.

Hamulców pomniejszych jest cały szereg (nierytmiczność produkcji, brak prototypów itp.) większość jednak z nich jest związana lub bezpośrednio wynika z poprzednich.

Jednym z istotnych hamulców jest sytuacja Działu Głównego Konstruktora. Problem ten dotyczy już samego zakładu, ale nie tylko. Dział ten traktowany jest przez kierownictwo zakładu po macoszemu, ponieważ jego prace, pomysły i wnioski przysparzają zakładowi nie korzyści lecz trudności i kłopoty. Premia konstruktorów nie zależy od wykonania planu przez dział, lecz uwarunkowana jest planem zakładowym, na który konstruktorzy praktycznie nie mają wpływu. Inżynierowie — konstruktorzy w zakładzie mają płace niższe o około 300 złotych miesięcznie niż pracownicy CBK zatrudnieni przy tego typu pracach. Szereg innych uprawnień dotyczących CBK nie obejmuje Działu Głównego Konstruktoru w zakładzie.

Mimo to jest w tym dziale grupa ludzi, którzy domagają się perspektywicznych prac konstrukcyjnych, a nie tylko bieżącej obsługi produkcji. Po wielu konferencjach, naradach i kolegiach udało im się wywalczyć zgodę Centralnego Zarządu Przemysłu Maszyn Budowlanych na konstruowanie nowego silnika czterocylindrowego, który po pomyślnych próbach mógłby zastąpić w przyszłości stary silnik „Białorusi”. Centralny Zarząd wyraził zgodę („Niech robia, zobaczymy kto miał rację”), ale nie ponadto. Nie udzielił żadnej pomocy, ponieważ i tak nie wierzył, że z tego coś wyjdzie. Trzech zapaleńców w „Ursusie” pracuje nad nowym silnikiem. Czy długo wytrwają w swym zapale? Czy wyniki ich pracy znajdą wyraz w produkcji?

POSTĘP TECHNICZNY W OKOWACH BIUROKRACJI

ALBIN KANIA

trudności i kłopoty organizacyjne, wymaga stałego modernizowania procesów produkcyjnych. Można nawet powiedzieć, że bezpośrednio ekonomicznie zakład zainteresowany jest tu w stagnacji technicznej. Jak się wyraził jeden z inżynierów w „Ursusie”: „Jedynym bodźcem jest tu poczucie obywatelskie, co obowiązku”.

Natomiast bodźców działających odwrotnie jest wiele. Każda nowa produkcja lub częściowe zmiany konstrukcyjne w starej produkcji powodują wiele trudności (wykonanie prototypów w warunkach braku prototypów, przestawienie linii produkcyjnych itp.) i tym samym utrudniają wykonanie planu — a więc zagrażają nieotrzymaniem premii, która stanowi prawie połowę uposażenia tysiącej armii personelu inżyniersko-technicznego, który nie stwarza materialnego zainteresowania szeroko pojętym postępie technicznym dla tych, którzy mają być jego twórcami — dla załogi zakładu pracy. To jest pierwszy i zasadniczy hamulec postępu technicznego. Z niego wynikają następne. Skoro bowiem zakład nie ma ekonomicznych bodźców dla postępu technicznego, powstaje potrzeba stworzenia bodźców administracyjnych. Skoro nowe rozwiązania konstrukcyjne nie są wprowadzane przez zakład, trzeba narzucać je z góry, ujmować w ramy sztywnego planu i czuwać nad jego realizacją. Trzeba trzymać rozdzęty aparat ministerstwa i centralnych zarządów, armię urzędników, która ma stać na straży postępu technicznego. Kosztuje to wszystko dużo, pożytku zaś przynosi mało. Znaną są powszechnie stare prawdy marksistowskie, których słusność potwierdza cała historia społeczeństwa, że ludzie udoskonalają swe narzędzia produkcji w procesie produkcji, a nie w procesie zarządzania produkcją. O ile korzystnie byłoby przeznaczyć środki potrzebne dla utrzymywania rozdzętej machiny biurokratycznej na materialne zainteresowanie producentów postępie technicznym. Korzystnie, gdyż wtedy byłby przede wszystkim postęp techniczny.

Najlepszym jaskrawym tego dowodem jest sam ciągnik „Ursus”, są cyfry podane na wstępie. W roku 1956 taśmę opuszczają ciągniki obciążone tą samą ilością poważnych wad co ich bliźniaki z 1947 roku. W ciągu prawie 10-letniego okresu produkcji „Ursusów” dokonano w ich konstrukcji tylko następujące drobne zmiany: wprowadzono świecę żarową (przedtem silnik zapalał przy przez podgrzewanie lampy naftowej), zmieniono siedzenie dla kierowcy oraz dorobiono błotniki i budkę. Czas wprowadzenia tych zmian do produkcji trwał przeszło trzy lata. Trwałby na pewno dłużej, gdyby...nie eksport i wyraźne żądania odbiorców zagranicznych, które spowodowały kilka zarządzeń Ministerstwa, Ministra, Centralnego Zarządu i stały kilkuniesięczny nacisk tych instancji na zakład. W wyniku tego wszystkiego zaczęto robić wreszcie błotniki i budkę, ale tylko do ciągników na eksport. Dopiero w kwietniu br. „unowocześnione” „Ursusy” z budką wyszły na kraj.

3 lata temu na II Zjeździe PZPR delegat na Zjazd z „Ursusa”, ówczesny sekretarz POP mówił z trybuny: „Zmieniamy konstrukcję silników, by uzyskać zmniejszenie zużycia paliwa. Pracujemy też nad wprowadzeniem dodatkowego urządzenia połączającego do pracy na ciężkim gruncie”.

Obecnie „można by z powodzeniem te słowa powtórzyć nic do nich nie dodając ani nie ujmując, ponieważ do chwili obecnej nic się nie zmieniło. Warto jednak podać przykład dla zilustrowania co oznaczały w praktyce słowa: „zmieniamy konstrukcję silników”. W 1953 roku został opracowany przez prof. Habicha nowy średnioprężny silnik na podstawie silnika „Lanz-Buldoga” (tego samego, z którego wywodzi się „Ursus”, tylko nowocześniejszego), z 1952 r. Miał on zastąpić dotychczasowy niskopiętny silnik „Ursusa”, przy czym zmiany byłyby nawet stosunkowo nieduże. Według projektu spalalby on 140 g ropy na 1 KM/godz., mniej niż stary silnik. Przyjmując 2 000 godzin pracy ciągnika w roku dobyłoby to oszczędności w rocznej eksploatacji rocznej pro-

nie o zakładzie, ale czyż nie lepiej byłoby przeznaczyć 0,5%, przewidzianych oszczędności dla załogi ZM „Ursus”, niż pozwolić aby co roku w postępie arytmetycznym wzrastała suma setek milionów złotych ułatwiających się w powietrze? Widocznie „poczucie odpowiedzialności obywatelskiej” zawodzi nie tylko w kierownictwie zakładu.

Chodzi nie tylko o przykłady, które można by mnożyć. Chodzi o cały system bodźców ekonomicznych, który nie stwarza materialnego zainteresowania szeroko pojętym postępie technicznym dla tych, którzy mają być jego twórcami — dla załogi zakładu pracy. To jest pierwszy i zasadniczy hamulec postępu technicznego. Z niego wynikają następne. Skoro bowiem zakład nie ma ekonomicznych bodźców dla postępu technicznego, powstaje potrzeba stworzenia bodźców administracyjnych. Skoro nowe rozwiązania konstrukcyjne nie są wprowadzane przez zakład, trzeba narzucać je z góry, ujmować w ramy sztywnego planu i czuwać nad jego realizacją. Trzeba trzymać rozdzęty aparat ministerstwa i centralnych zarządów, armię urzędników, która ma stać na straży postępu technicznego. Kosztuje to wszystko dużo, pożytku zaś przynosi mało. Znaną są powszechnie stare prawdy marksistowskie, których słusność potwierdza cała historia społeczeństwa, że ludzie udoskonalają swe narzędzia produkcji w procesie produkcji, a nie w procesie zarządzania produkcją. O ile korzystnie byłoby przeznaczyć środki potrzebne dla utrzymywania rozdzętej machiny biurokratycznej na materialne zainteresowanie producentów postępie technicznym. Korzystnie, gdyż wtedy byłby przede wszystkim postęp techniczny.

Jak wygląda natomiast postęp techniczny, który rodzi się nie w procesie produkcji, lecz w procesie zarządzania produkcją można zilustrować na przykładzie wprowadzania do produkcji ciągnika „Białorus” na miejsce „Ursusa”. W 1953 roku rząd podjął uchwałę o produkowaniu w Polsce ciągnika „Białorus”. Wydaje się, że ci którzy mieli realizować tę uchwałę — załoga ZM „Ursus” — powinni ją rozumieć, znać motywy, dla których wybrano ten właśnie typ ciagnika, a nie inny. Naprawdę jednak starano się dowiedzieć, jakie są motywy, czyj był wniosek. Sytuacja była tym bardziej poważna, że nikt w zakładzie, a szczególnie fachowcy, nie był przekonany o słusności wyboru tego właśnie ciagnika do produkcji. Fachowcy wskazywali, że nie jest to typ najbardziej nowoczesny, a tym bardziej nie będzie takim w chwili kiedy rozpocznie się jego produkcja — w 1959 roku — będzie on bowiem liczył sobie wtedy 14 lat. Wskazywali, że aczkolwiek ciągnik ten stanowiłby postęp w stosunku do „Ursusa”, to jednak zużyłby więcej paliwa niż inne ciagniki nowoczesne (220 g na 1 KM/godz.), więcej waży (3 tony), ma nietechnologiczną konstrukcję i jest mało zwrotny. Wszystkie te uwagi krytyczne w stosunku do „Białorusi” potwierdziła zresztą później prasa radziecka (m. in. p. trz. „Woprosy ekonomiki” rok 1955, Nr 12, str. 68-67). Wszelkie jednak dyskusje na ten temat były ucinane przez Ministerstwo i Ministra i to dosyć niewybrednymi metodami (w rodzaju „bądźmy zdejnować za takie dyskusje”, krytyka „Białorusi” — to przejaw nacjonalizmu antyradzieckiego” itp.).

I że w 1959 roku zakończy ostatecznie produkcję — a więc w tym samym roku, w którym my z naczyliśmy seryjną produkcję tego ciagnika. W zakładowej gazecie „Głos Ursusa” miał ukazać się artykuł omawiający między innymi te sprawy. Artykuł ten jednak nie ukazał się, ponieważ Wice-Minister Przemysłu Motoryzacyjnego — Kwieciński zabronił kategorycznie rozpowszechniania tej wiadomości.

Zachodzi obawa, że przy obecnym systemie zarządzania gospodarką, historia z „Ursusem” powtórzy się, tzn., że przez następne 12 lat będziemy produkowali bez zmian „Białorus”, a potem znowu zakupimy licencję na inny nienowoczesny ciagnik.

Jeszcze jedną przegrodą biurokratyzmu na drodze postępu technicznego jest koncentracja pracy konstrukcyjnej w centralnych biurach konstrukcyjnych.



ŚWIATOWY PRZEMYSŁ ATOMOWY

Według informacji angielskiego Financial Times pracuje obecnie ponad 90 reaktorów atomowych w 13 krajach. W 14 innych państwach buduje się lub projektuje reaktory atomowe. 7 dalszych państw zorganizowało specjalne stanowiska ośrodki badawcze.

Związek Radziecki opublikował projekt budowy 3 nowych elektrowni (jedna kolo Moskwy i dwie na Uralu) o ogólnej wydajności 1400 megawatów. Poza tym pracuje, jak wiadomo pierwsza w świecie elektrownia atomowa kolo Moskwy i dobiega końca budowa jeszcze jednej, większej elektrowni. Anglicy szacują ilość czynnych obecnie na terenie ZSRR reaktorów na 25. Prócz tego ZSRR dostarcza reaktory krajom nie tylko socjalistycznym, lecz i kapitalistycznym jak Finlandia i nie rozwiniętym, jak Indonezja. Poza tym naukowcy ZSRR rozporządzają potężnymi synchrocyklotronami.

Wielka Brytania rozporządza 10 reaktorami doświadczalnymi. Projektuje się budowę 12 słowni do roku 1965. Rzeczoznawcy zachodni są zdania, że projektowanie i budowa nowego reaktora opartego na doświadczeniach z istniejącym musi trwać 5-7 lat.

W Stanach Zjednoczonych zatrudnia się w przemyśle atomowym 107 000 ludzi. Do wykorzystania w celach przemysłowych rząd stawia do dyspozycji 39 ton U235, wyprodukowanych w Oak Ridge, Hanford i Savannah River. Elektrownie są dopiero w stadium projektowania lub budowy, jeśli nie liczyć instalacji na 2 atomowych łodziach podwodnych.

W 1957 roku zostanie uruchomiona pierwsza elektrownia dla celów przemysłowych w Shippingport o mocy 60 MW. Do 1958 roku zostaną wybudowane jeszcze trzy słowne o łącznej mocy 40 MW, a w dalszej przyszłości jeszcze 6 słowni, przy czym moc największej z nich ma wynosić 250 MW.

Francja będzie mieć przynajmniej dwie elektrownie atomowe o łącznej mocy 50 MW, Holandia

i Norwegia stworzyły wspólną organizację rozporządzającą reaktorem rządu 10 MW, podobną instalację ma Szwecja, gdzie projektuje się także elektrownię o mocy 100 MW, mającą być uruchomioną w 1965 r. W Szwajcarii projektuje się elektrownię o mocy 10 MW, w Wüzzlingen. Z krajów Wspólnoty Brytyjskiej Kanada ma 2 czynne reaktory i dwa w budowie. W Australii, Południowej Afryce i Indiach dopiero projektuje się budowę instalacji atomowych. W Ameryce Łacińskiej przystąpiono do rozwoju przemysłu atomowego w Brazylii i Argentynie, a w Azji — w Chinach i Japonii.

Surowce do przemysłu atomowego rozrzucone są względnie równomiernie na kuli ziemskiej. Ze związków uranu najważniejszy jest uranin. Istnieje także szereg przydatnych w tej dziedzinie innych minerałów, występujących w formacjach geologicznych. Tor występuje jako poważny składnik w co najmniej 50 minerałach (monacyt, torianit itp.). Głównymi eksporterami mineralnych surowców atomowych w świecie kapitalistycznym są Południowa Afryka, Kanada, Australia, Kongo i Portugalia. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania dokonują zakupów poprzez Combined Development Agency, Agencję utworzoną jeszcze podczas wojny. (je)

NA DROGACH ROZWOJU LOTNICTWA

Oficjalny rekord świata, ustanowiony przez lotnika brytyjskiego Twissa na samolocie Fairey Delta z silnikiem odrzutowym Rolls-Royce Avion, a wynoszący 1 822 kilometry na godzinę nie oznacza, że w rzeczywistości Twiss był najszybszym człowiekiem świata. W niekontrolowanych ścieżkach (według oficjalnych wymogów) warunkach samolot doświadczalny Bell X1A osiągnął około 2 610 km/godz. Radzieckie i amerykańskie lotnictwo nie informuje o maksymalnych szybkościach swoich samolotów bojowych. Amerykanie twierdzą, że najszybszym samolotem ma być Lockheed F104A.

Wielkim osiągnięciem jest radziecki TU-104, podróżujący z szybkością około 800 km/godz.

Osiągnięcia w dziedzinie lotnictwa wojskowego pociągają za sobą ulepszenia w lotnictwie komunikacyjnym, przede wszystkim w samolotach przeznaczonych do dalekich lotów. Produkcja takich samolotów na zachodzie (brytyjski VC7, amerykański Douglas DC6) zależy od zamówień rządowych dla podobnych typów o przeznaczeniu wojskowym.

Wielkim osiągnięciem jest radziecki TU-104, podróżujący z szybkością około 800 km/godz.

Produkcja samolotów pasażerskich dla długich lotów w krajach kapitalistycznych wynosi nie więcej niż kilkaset sztuk rocznie. Z 546 zamówień na Boeing Stratocruiser, 500 pochodzi z amerykańskiego departamentu obrony.

Jeśli chodzi o lotnictwo cywilne, to najwięcej uwagi poświęca się samolotom pasażerskim dalekiego zasięgu. Na przykład mają być wprowadzone do komunikacji transatlantyckiej czterosiłnikowe odrzutowe, zdolne do przewożenia 130 pasażerów. W 1959 r. ma być wprowadzony do komunikacji brytyjski Comet IV i francuski Caravelle. Przewiduje się, że rozwój lotnictwa podąży w 2 nowych kierunkach — w kierunku zastosowania napędu atomowego i rozwoju helikopterów. Stany Zjednoczone, które zdążyły już wydać 300 mln dolarów na doświadczenia, spodziewają się za 10 lat mieć pasażerskie samoloty o napędzie atomowym, zdolne latać do szybkością trzy razy większą od szybkości dźwięku.

Helikoptery natomiast wciąż jeszcze są małe, skomplikowane w obsłudze i drogie. Zdaniem P. Masfielda z British European Airways, helikoptery powinny zabierać 50 pasażerów, mieć szybkość przynajmniej 240 km/godz., bezpieczeństwo powinny zapewnić 2 silniki itp. Obecnie eksploatacja helikopterów jest zbyt kosztowna dla celów komunikacji cywilnej. W Anglii uważają, że ułupnie około 10 lat, zanim helikoptery staną się ekonomicznie uzasadnionym środkiem komunikacji. (je)

CZY KONIECZNIE PODZIEMNE METRO?...

Warszawską komunikację miejską interesują się przede wszystkim mieszkańcy stolicy. Znajdą ją jednak również mieszkańcy innych miast, zwłaszcza ci, którzy co dnia olurzymym strumieniem napływają tu na delegację służbową. Warszawiak, nauczył się już jazdy w winogronach, wyrobił sobie cierpliwość w oczekiwaniu na przepełnione tramwaje i autobusy. Przyjeżdżni natomiast staje wobec tych codziennych zjawisk niemal zupełnie bezradny.

Nie też dziwnego, że zapowiedź zbudowania pierwszych odcinków metra w planie 6-letnim wywołała w swoim czasie entuzjastyczne zainteresowanie w całym kraju. Jedni cieszyli się, że już wkrótce będą jeździć wygodnie i szybko do pracy. Inni dopatrywali się w tej inwestycji pierwszego kroku na

jest wrogiem budowniczych metra. Głośno rozprawiano o nieudolności i braku przygotowania naszych specjalistów od spraw metra. Najwięcej narzekań było na to, że owi specjaliści zgłaszają coraz nowe koncepcje, a stolica w dalszym ciągu dusi się w swym korku komunikacyjnym, a ludzie w dalszym ciągu codziennie przeżywają niezamierzoną gimnastykę w zatłoczonych wozach tramwajowych i autobusowych.

Warto by zastanowić się chociażby pokrótce czy istotnie konieczna jest niesłychanie kosztowna budowa metra głębokiego i czy nie można rozwiązać gorszyjskiego węzła warszawskiej komunikacji innymi, tańszymi metodami.

Metro czyli szybka kolej miejska buduje się w zasadzie jako kolej podziemna. Nie jest to jednak regułą. Za przykład wyjątku slu-

będą rozwiązywały komunikację typu metro jako nadziemną. Chodzi o to, by uniknąć znacznego podwyższenia nakładów budowy, które wynikają z konieczności stosowania kosztownej obudowy podziemnych wyrobisk oraz ze znacznie powiększających się kosztów robocizny. Tak więc Berlin, nie chcąc za 1 km komunikacji typu metro płacić więcej niż Paryż — zapłacił znacznie mniej, budując kolej nadziemną, ale naśladowców raczej nie znalazł, gdyż efektem oszczędnościowym towarzysząca poważne cechy ujemne. Oprócz ustawicznego hałasu na trasach pociągów, otrzymuje się wzdłuż sieci postomostów podział na sektory przypominający ludzko, w przypadku Berlina, podział urodzinowego tortu. Linie postomostów niweczą wiele urody miejskiego krajobrazu, zamieniając szersze perspektywy, dzieląc organiczne całości na części itp.

Nic więc dziwnego, że w Warszawie wśród fachowców można przeważnie spotkać przeciwników metra na postomostach. Na przestrzeni kilku ostatnich lat w szeregu artykułów rozprawili się oni z wszelkimi stosowanymi do dziś systemami nadziemnymi, określając stosowanie ich jako szpecenie miasta w kapitalistycznej pogoni za zyskiem. W wyniku, nasza „myśl metrowa” odcięła się od wszystkich, co nadziemne w miejskiej komunikacji, jakby od szkodliwego odchylenia ideologicznego. Dla tej „myśli” wszystko jedno czy trochę płycej, czy trochę głębiej w wykopie płytkim, czy w tunelu głębokim, byle by to była kolej elektryczna, klasyczna — na stalowych sztywnych kołach, tocących się po stalowych szynach.

W ciągu minionych dziesięciu lat można wydzielić okresy dominowania różnych poglądów na sposób rozwiązania szybkiej komunikacji w Warszawie. Pierwszy okres to pogląd, że należy budować kolej płytką w wykopach otwartych lub zakrytych. Panował on do roku około 1950. Stan zabudowy miasta z początku tego okresu zezwalał na taką budowę w całej rozciągłości. Następny okres do roku 1953 — to pogląd o celowości budowy metra głębokiego. Okres, w którym znaleźliśmy się następnie, przyniósł zwycięstwo poglądu, że sprawę należy na razie rozwiązywać przez wzmocnienie środków lokomocji zbiorowej. Ostatni okres, w którym znajdujemy się obecnie, nazwać można okresem poszukiwań, co zrobić, żeby w ogóle coś zrobić w zakresie wielkomiejskiej komunikacji Warszawy, gdyż zdajemy sobie sprawę, że gdyby jednorazowa pełna produkcja FSO przeznaczona została dla stolicy, doprowadziłoby to do krytycznej

go zdeorganizowania komunikacji miejskiej.

Zachodzić może pytanie, które z tych poglądów są błędne, a które słuszne. Każdy chyba z poglądów był słuszny dla swojego okresu. Błąd tkwi w czym innym, a mianowicie w tym, że z żadnego z tych okresów nie pozostało nic użytkowego dla miasta. Zamiast odwracać się ongiś zupełnie od płytkiego do głębokiego metra, należało forsować budowę chociażby jednej najpilniejszej linii jako płytkiej, prowadząc budowę nawet wtedy, gdy w uznaniu celowości metra głębokiego przystąpiło się do nowego projektowania. A gdy sporządzony na podstawie skonkretyzowanego projektu kosztorys wykazał, że za wcześnie u nas ustawiać się całoliniowo na głębokie metro, łatwiej byłoby o siły i środki finansowe na przeprowadzenie głębokiego „zeberka” od płytkiego „kregosłupa”. Linia taką (dla celów doświadczalnych) budujemy o tyle szybko, o ile szczupłość środków na to pozwala czyli dosyć wolno. Jeżeli budowy tej linii nie zatrzymamy, to unikniemy w sporym stopniu błędu podobnego do popełnionego w okresie pierwszym.

Błąd okresu pierwszego naprawiać klasycznymi środkami, czyli budować płytki kregosłup północ-południe, coraz trudniej w miarę jak zabudowuje się oś północ-południe. Za to wyjście z sytuacji można znaleźć w decyzji budowy trasy północ-południe w postaci nowoczesnej kolejki nadziemnej.

Paryż uruchomił już linię metra używając wozów na pneumatykach, uzyskując znaczne oszczędności budowy i eksploatacji. U nas niewątpliwie lekkomyślnością byłoby występowanie z tego rodzaju nowinkami przy realizowaniu tak kosztownej jak metro inwestycji. Ale jeżeli nowinki te okażą się istotnie tak praktyczne, jak to relacjonują wzmianki w prasie fachowej, to nasze wielkim nakładem zbudowane metro okaże się prawie od swego urodzenia urządzeniem przestarzałym. Żeby jasno się wyrazić: stosowany do dzisiejszego dnia tabor klasyczny metra, przypominający podmiejski pociąg elektryczny (bez pantografu) wymaga stosunkowo dużej średnicy tunelu, nie dając w zamian szybkości jazdy większej niż szybkość prawdziwie nowoczesnego tramwaju na wydzielonych torowiskach.

Eksperyment paryski stanowi poważną zapowiedź rewizji stosunku do klasycznego taboru metrowskiego w całej rozciągłości zagadnienia.

Myśl konstruktorów w wielu krajach zwraca się ku takiemu uformowaniu środków nadziemnej komunikacji miejskiej, żeby przestały być elementem dysharmonii



Kolej wisząca w stanie Texas (USA)

w zewnętrznym wyglądzie miasta. Zbudowano w USA kolej wiszącą, jeżdżącą z szybkością ponad 100 km/godz. po mocnej rurze stalowej opartej na odpowiednio wygiętych słupach, także z rur stalowych. Zapowiedziano budowę w Londynie linii kolei wiszącej, o określonym zadaniu połączenia komunikacyjnego z lotniskiem.

Podjęto również pracę nad wykorzystaniem zasady kolejki siodłowej. Punktem wyjścia w tych rozwiązaniach jest zastosowanie lekkiej konstrukcji pudła i kół ogumionych lub z wkładkami gumowymi, zmniejszających obciążenie dynamiczne. Jako wtórne korzyści otrzymuje się ogólną lekkość konstrukcji i możliwość dużych szybkości. Poza tym uzyskujemy poważne oszczędności inwestycyjne. Jeżeli koszt 1 km linii tunelu głębokiego dla metra w naszych warunkach przyjąć za 100, to dla metra „spłyconego” (również w naszych warunkach geologicznych) można ten koszt przyjąć za 30. Natomiast koszt jednego kilometra linii siodłowej wyniosłby 4 do 8. Przewaga kolei siodłowej równie wyraźnie uwidatnia się przy porównywaniu zdolności przewozowej. Linia tramwajowa przewozić może 12 tys. pasażerów na godzinę, linia metra 40 tys., linia zaś kolei siodłowej, przy długości pociągów równej długości pociągu metra, powinna wykazać zdolność przewozową 60 tys. pasażerów na 1 godzinę.

Największą szybkość jazdy wynosi dla tramwaju 40 km/godz., dla tramwaju szybkiego lub pociągu metra 75 km/godz., a kolejka siodłowa może osiągnąć bez trudu 120 km/godz.

Z przytoczonych liczb widać, że warto się zainteresować bliżej podstawowymi szczegółami technicznymi kolei siodłowej. Kolej siodłowa jeździ po gładkiej belce. Pudło wozu zawieszone jest na dwukółkowych wózkach z pneumatycznym ogumieniem. Pudło wozu podzielone jest pomostem na część zasadniczą przeznaczoną dla pasażerów i część dolną mieszczącą silniki, przekładnię zębata, urządzenia hamulcowe oraz dodatkowe koła stabilizujące czyli wymuszające odpowiednią pozycję wozu na belce. Koła niosące, osadzone głęboko w środku pudła, większą swą częścią znajdują się nad pomostem. Kołami napędowymi mogą być koła stabilizujące, co upraszcza konstrukcję. Lekka budowa pudła oparta na zasadach konstrukcji kadłubów lotniczych, brak wstrząsów i głębokie pewne posadzenie wozu na belce absolutnie chronią przed wypadnięciem „z szyn” i pozwalają rozwijać szybkość, która w metrze klasycznym jest nie do zrealizowania. Jazda odbywa się bez hałasu. Słychać będzie tylko szum ogumienia i głos przekładni zębata, zaleźny — jak wiemy — w skali natężenia od jakości ich wykonania. Może on być ledwo dostrzegalny w przypadku odpowiednio dobrego wykonania przekładni. Tor jezdny może mieć kształt prostokątnej lub 2-teowej belki struno-betonowej lub kablo-betonowej, nie szerszej niż 80 cm, opartej na żelbetowych słupach rozstawionych w odległości około 15 m jeden od drugiego.

Nad ulicami poprzecznymi belka musiałaby być mocniejsza odpowiednio do zwiększonego w takim wypadku rozstawu słupów. Montaż torowiska z elementów wykonanych w zakładach trwałby tylko kilka razy dłużej niż montaż słupów latarnianych. Czy można sobie wyobrazić, że konstrukcja taka przylotczy i „rozmiądzę” ulicę Marszałkowską (tak jak wiadukt mostu Poniatowskiego „rozmiądzę” i optycznie unicestwił Al. 3 Maja na odcinku od ul. Smolnej do brzożu Wisły) i wywoła berlińskie efekty? Na pewno nie. Na przykład na ul. Marszałkowskiej belka jezdna zarysowałaby się smukłą linią na tle pasa zieleni, zastąpiła sama od dołu koronami przykręćnikowego rzędu drzew, które jakby dla tego celu rosły. „A tam gdzie drzew nie ma, to co, mamy specię miasto?” — zapyta esteta.

Na taki osąd nawykowy można odpowiedzieć, że dotychczas bar-

dzo chętnie zdobiono Warszawę kolumnami i arkadami. Za cenę 60-metrowej kolumnady gmachu Ministerstwa Rolnictwa przy ul. Wspólnej można by wybudować 1 kilometr bardziej rozciągniętej i niższej kolumnady, a więc 1 kilometr linii nadziemnego metra. Jest to więcej niż połowa odległości między dwiema stacjami.

Zresztą dlaczego nie mielibyśmy budować kolumnad dla spełniania pożytecznych funkcji, gdy do niedawna budowaliśmy je bez potrzeby?

Czy wolno twierdzić, że coś jest piękne, gdy jest bezużyteczne a szpetne, gdy służy określonej pożytkowi? Czy tarasy na MDM straciły na wartości dekoracyjnej, gdyby po niewielkiej przeróbce służyły za perony stacji „Plac Konstytucji”? Dla krytyki stacji w wąskich ulicach, stworzone u nas już wcześniej rozwiązania przykładowe w postaci budynków na kolumnach zagradzających ulicę, jak np. ul. Sienkiewicza od strony placu Wareckiego. W przypadkach bardzo wyjątkowych, jak np. dla nienaruszenia zabiegowego wyglądu placu można belkę jezdnią sprowadzić na dno wykopu, a następnie do tunu i i przejść pod terenem lub urządzić stację podziemną. Na najpilniejszej oś. wykonania szlaku północ-południe problem nawiązania do uzyskanych w minionym okresie osiągnięć plastycznych istniałby raczej tylko na odcinku pomiędzy Placem Stalina a polem Mokotowskim. Natomiast prowadzenie przez pole Mokotowskie oraz od stacji ul. Próżna w stronę dworca Gdańskiego i Żoliborza daje wszelkie możliwości wkomponowania tego elementu, jakim byłaby kolumnada, w nowoprojektowaną zabudowę.

Wyobraźmy sobie, jak łagodnymi łukami przewija się jasna linia toru pomiędzy skromnymi wysokościami (skromny wysokościowiec to budynek choć trochę monumentalny, w którym wymiar pionowy jest zdecydowanie większy od pozostałych). Błuszczy pnie się na kolumny. Po torze co dwie minuty — jak symbol nowoczesności — przemyka bezszelestnie barwny akcent, smukły, aerodynamicznie wyokrąglony pociąg. A jak efektywnie wyglądałaby kolej pływająca ze skarp w zieleni Agrykoli, by przesyłowawszy nad Wisłą, zniknąć wśród zabudowań Saskiej Kępy w drodze ku Goławkowowi.

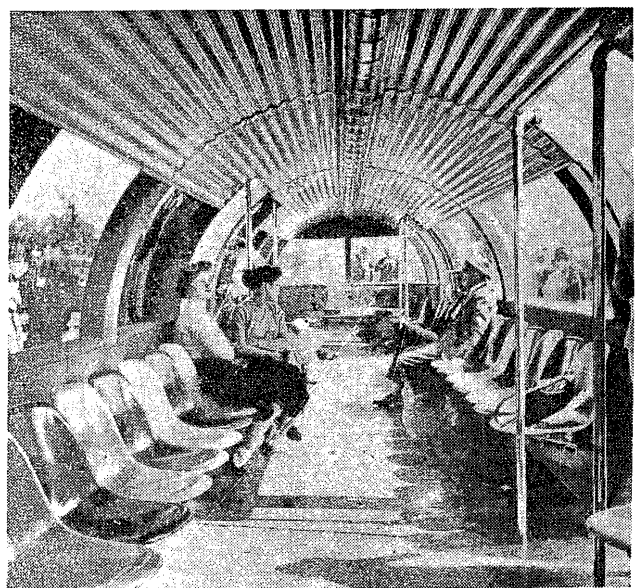
Ta wizja sprowadza nas znów do konkretnych zagadnień. Jak prowadzić następną linię tej kolei, np. na prawy brzeg Wisły? Jak do tego celu budować rozjazdy? Należy sieć tego rodzaju kolei budować w układzie liniowym, tzn. krzyżując poszczególne linie w różnych poziomach, a budowę rozjazdów, które w danym wypadku urastają do rozmiarów maszynierii, ograniczyć do zakresu wymagane go dla sprowadzenia pociągów do zajezdni.

Kiedy zaprzestają budowy takich tanich linii? Do metra głębokiego odnosić się musimy jak do instytucji wyższej użyteczności, które nie rentują bezpośrednio, a odpłacają się wtórnymi korzyściami, niewymiernymi w pieniądzu. Gdy nas stać będzie, żeby budować przez centrum miasta metro pod ziemią, wtedy kolejka na słupach można rozmontowywać linia po linii i obdarowywać nią inne miasta.

Budowę całej linii ze wszech miar celowe byłoby poprzedzić budową próbnego odcinka np. pomiędzy dworcem Gdańskim a Śródmieściem. Odcinek to niewielki, a bardzo zakorkowany. Linia ta z miejsca spełniałaby użyteczną funkcję oddzielenia jednego z najbardziej przeładowanych odcinków. Na tak krótkim odcinku linia mogłaby być jednotorowa z jednym wahadłowo chodzącym pociągiem eksperymentalnym.

Zacząć natomiast należałoby od tego, żeby upoważnić czy zobowiązać „Metroprojekt” do zajęcia się stroną projektową tego zagadnienia.

Szczepan Jaworski



Wnętrze wagonu kolei nadziemnej.

drodze radykalnej modernizacji naszej komunikacji miejskiej.

Jakże przyszedł potem przeżyli wszyscy rozczarowanie, gdy budowa metra przerwano. Ponadto przez długi czas po zaniechaniu budowy metra, całą sprawę pokryło wstydlwym milczeniem. Cóż, wiek z ulicy snuł najbardziej fantastyczne domysły, mimo woli a czasem z pełną świadomością szerzył niepokojące wieści. Mówiło się o zmarnowanych milionach, badało się wzrokiem, czy istotnie gmach CDT nie zapada się w grząską kurzwkę, która równocześnie

żyć może Berlin, który najpierw zbudował kolej miejską na postomostach, a następnie dopiero po wielu latach doszedł do sieci kolei podziemnej uzupełniającej kolej na postomostach. Miejscami pomosty proporcjami poprzecznymi przypominają wiadukt mostu Poniatowskiego. Określona część sieci postomostów służy także dla jazdy pociągów dalekobieżnych.

W czasach przedwojennych uciekał się pogląd, że miasta mieszczące się na wzór Berlina na gruntach o takim charakterze geologicznym, który utrudnia budowę podziemną,

URZĄDZENIA TURYSTYCZNE TEŻ PLANOWAĆ Z GŁOWĄ

Tempo rozwoju inwestycji turystycznych w sześciolate było duże: w roku 1950 — 5,8 mln zł, w roku 1955 — 27,6 mln zł; wykazują one wzrost prawie pięciokrotny, a globalne nakłady wyniosły około 100 mln zł. Nie można się jednak samymi cyframi sugerować. Silny rozwój turystyki w tym okresie sprawił, że mamy w dalszym ciągu poważny niedobór urządzeń turystycznych. Ilość osób chcących korzystać ze stanic wodnych, schronisk czy domów wycieczkowych jest o wiele większa niż możliwości recepcyjne. Ta niekorzystna sytuacja pogłębiała została przez błędy, jakie popełniano w dotychczasowej polityce inwestycji turystycznych.

Jednym z najważniejszych błędów popełnianych w tej dziedzinie był i jest nadal brak generalnie opracowanej koncepcji inwestycji turystycznych. Przy opracowaniu każdej z inwestycji bierze udział tzw. „aktywny miejscowy”, który z reguły walczy o obiekt jak najwięcej, jak najlepiej wyposażony uważając, że w ten sposób dobrze przysłuży się własnemu rejonowi. W wyniku, otrzymujemy obiekty nieekonomiczne, w większości zbyt duże, wymagające stałych dotacji na eksploatację. Jako przykład można wymienić dom turysty w Sopocie, dom wycieczkowy w Bielsku-Białej, hotel-schronisko na Polanie Chocholowskiej czy wreszcie chybioną koncepcję stanic samoobsługowych.

Przed wszystkim należałoby wypracować generalną koncepcję domów wycieczkowych nadmorskich. Sezon trwa tam maksymalnie 2-3 miesiące, a nasilenie wycieczek w innych okresach jest bardzo małe. Wybudowanie więc np. w Sopocie obiektu na 500 miejsc noclegowych, nastawionego na całoroczną eksploatację byłoby poważnym błędem i marnotrawstwem funduszy inwestycyjnych. Dodać jeszcze należy, że pierwotna — na szczęście nie realizowana — koncepcja przewidywała budowę tego obiektu na 1000 miejsc. W chwili obecnej obiekt ten jest przez 9 miesięcy eksploatowany jako bursa, co naturalnie z turystyką ma mało wspólnego.

Wydaje się, że w miejscowościach nadmorskich należałoby budować obiekty lekkie, o charakterze

terze letnim. Najwłaściwszą formą byłby tu domki campingowe składane na zimę. Jeden stały budynek pełniłby w lecie funkcję bazy, a w zimie — magazynu. Obiekty takie, nie wymagające dużych nakładów inwestycyjnych, fanie w eksploatacji, spełniłyby na pewno swoją rolę.

Odmienne, także nie rozwiązującym dotychczas problemem jest sprawa inwestycji dla turystyki wodnej. Koncepcja budowy stanic samoobsługowych okazała się pomysłem nieprzemysłowym. Wystarczy podać, że w ubiegłym sezonie w nowowyprowadzanych stacjach nad Pilicą nikt (dosłownie) przez cały sezon nie nocował. Obecnie budowy stanic samoobsługowych zaprzestano, buduje się natomiast na szlakach wczasów kajakowych stancje z obsługą. Zdaje się, że i ten pomysł nie wytrzyma próby życia. Kto wie, czy np. rzucenie większej ilości namiotów do wypożyczalni sprzętu turystycznego nie rozwiąże właściwie zagadnienia noclegu turystów, zamiast kosztownej budowy stanic. Z drugiej strony krótki okres eksploatacji tych stanic też chyba przesądza o braku efektywności ich budowy. Wydaje się natomiast celowe utworzenie baz w najbardziej kluczowych punktach turystyki kajakowej, naturalnie przy maksymalnym zastosowaniu budownictwa letniego.

Jeśli chodzi o budownictwo turystyczne w górach — należy podkreślić, że większość schronisk wybudowanych w ostatnich latach posiada przyjemny dla oka wystrój architektoniczny. Gorzej przedstawia się natomiast ich lokalizacja i funkcjonalne rozwiązanie. Budynek. Najjaskrawszy przykład stanowi schronisko na Polanie Chocholowskiej, — położone powyżej 1100 m n.p.m., w odległości około 10 km od innych osiedli i w dodatku na terenie Parku Narodowego. W obiekcie tym na 1 miejsce noclegowe przypada aż 52 m³ kubatury budynku. Dla porównania podać należy, że w nowowyprowadzonym domu wycieczkowym w Wiśle, mimo że obiekt położony jest przy szosie, a więc z punktu widzenia transportu w terenie łatwiejszym, przypada jedynie 47 m³ na 1 miejsce noclegowe. Cyfry te świadczą, że schronisko na Polanie Chocholowskiej było budowane nieoszczędnie. Wydaje się, że w obiekcie o typie schroniska na Polanie Chocholowskiej — górny — pulap — kubatury

ry na 1 miejsce noclegowe nie powinien przekraczać 40 m³. Zbyt duża kubatura budynku, a także wyposażenie części pomieszczeń w tym schronisku w umywalki i łazienki w pokojach zamiast skromnie, ale w dobrze funkcjonujące prysznic, nadają temu obiektowi charakter górskiego hotelu, a więc obiektu przeznaczanego również na dłuższe pobyty. Wzburza to zrozumiałą krytykę przede wszystkim tych kół, które są odpowiedzialne za stan parku narodowego.

Inne zagadnienie stanowi budowa dużych schronisk w partiach szczytowych (Prehyba, Turbacz), których koszty budowy ze względu na transport i droższą robociznę są niewspółmiernie wysokie. Ponieważ i eksploatacja tych obiektów natrafia na trudności, kto wie, czy nie należałoby większe schroniska budować w dolinach, w wyższych rejonach lokalizując jedynie małe obiekty.

Poważnym obciążeniem inwestycji turystycznych jest przeciąganie ich budowy na szereg lat. Budowa schroniska na Turbacz trwała już 4 lata (nie wliczając czasu opracowywania dokumentacji) i przypuszczalnie będzie trwać jeszcze 2 lata. Budowa domu turysty w Zakopanem nie będzie chyba trwała krócej. Nawet budowa domu turysty w Warszawie wzięcie się od 1952 roku.

Przy budowie obiektów turystycznych nie wykazano dotychczas należytej uwagi, aby termin ukończenia robót budowlanych wewnątrz budynku zbiegał się z wykonaniem elewacji, podłączeniem wody i światła, a także z wyposażeniem wnętrza. Jako przykład należy tu wymienić nierozwiązanie sprawy energii elektrycznej schronisk na Polanie Chocholowskiej i w Dolinie Pięciu Stawów Polskich. Prawda, że w chwili obecnej rozwiązanie tych zagadnień natrafia na opory ze strony gospodarza terenu — dyrekcji Tatrzńskiego Parku Narodowego, niemniej jednak sprawa ta powinna być przedmiotem sporów przed rozpoczęciem budowy, a nie teraz, gdy schroniska są już gotowe i eksploatowane. Np. w domu wycieczkowym w Bielsku nie funkcjonuje instalacja ciepłej wody, a nikt nie wywiera odpowiedniego nacisku, aby przedsiębiorstwo budowlane usunęło jak najszybciej ten mankament.

Czy wreszcie nie kompromitującym jest fakt, że w Warszawie w domu turysty od pół roku stoją nieużywane olbrzymie sale, bo

nie zamówiono do nich mebli w odpowiednim czasie?

Przy realizowaniu inwestycji turystycznych poważnym błędem był dotychczas brak kompleksowego podejścia do zagadnienia. Najłatwiej to chyba wykazać na przykładzie kolejki linowej na Szyndzielnię. Kolejka ta nie posiada dostatecznego zaplecza w postaci domów wczasowych, schronisk czy domów turystycznych. W wyniku tego kolejka nie ma dostatecznej frekwencji i z punktu widzenia efektywności należy tę inwestycję uważać za nieudaną. Z drugiej strony nie zrobiono nic, aby ten stan zmienić. Budowa schroniska na Szyndzielni, które zwiększyłoby możliwości noclegowe o około 100 miejsc jest prowadzona od kilku lat w żółtym tempie. Domy wczasowe w Mikuszowicach nie są w pełni wykorzystywane, a nawet zamieniane na biura czy magazyny, tak że ilość miejsc noclegowych wynosiła w okresie zimowym zaledwie 200.

Uświadomienie sobie tych błędów jest o tyle ważne, że powtarza się je przy budowie wyciągu na Skrzyczne w Szczyrk. Ilość miejsc noclegowych w domach wczasowych i orbiśowskich wynosi w Szczyрку około 2000. W chwili, gdy w Szczyрку uruchomiona zostanie taka atrakcja jak wyciąg, ilość ta jest za mała i konieczne jest rozbudowanie bazy noclegowej. I tak budowa domu turysty w Szczyрку ulega opóźnieniu. Nie zainteresowano też budową nowych domów FWP czy „Orbis”. Już dziś można przewidzieć, że wyciąg na Skrzyczne po uruchomieniu nie będzie miał pełnej frekwencji.

Niesłuszne jest również rozpoczynanie szeregu inwestycji w różnych rejonach. Raczej należałoby wybudować kompleks urządzeń w jednym rejonie, a dopiero później w drugim. Zwiększy to rentowność nowowyprowadzanych obiektów w pierwszym okresie po uruchomieniu, a tym samym pozwoli na podejmowanie większych inwestycji w latach następnych.

Państwo nie szczędzi pieniędzy na inwestycje turystyczne. Chodzi tylko o jak najeconieczniejsze wykorzystanie tych sum. Powinno to być naczelnym zadaniem Komitetu do Spraw Turystyki i PTTK odpowiedzialnych za ten odcinek naszej gospodarki. Chodzi jednak o to, aby inwestycje te planować z głową.

Tadeusz Palacz

PODATKI NIE W PORĘ

Wydane niedawno akty prawne — zarządzenie Prezesa Rady Ministrów nr 101 (z dn. 14.4.1956 r.) i okólnik Ministra Przemysłu Drobno- i Rzemiosła nr 16 (z dn. 30.4.1956 r.) — uregulowały zagadnienie mocy obowiązującej przepisów prawa przemysłowego i w miarodajny sposób określiły uprawnienia rad narodowych w stosunku do rzemiosła.

Przepisy te stwierdziły, że zadaniem rzemiosła jest w pierwszym rzędzie świadczenie usług dla ludności, a ponadto — produkcja artykułów rynkowych i tych artykułów zapatrzonych — inwestycyjnych, które nie mogą być dostarczone przez jednostki gospodarki uspołecznionej.

Przepisy te w wyraźny sposób zabroniły przez wdrażania rzemieślników bez poważnych przyczyn, zabroniły likwidowania warsztatów rzemieślniczych na mocy swobodnego uznania władz terenowych, zabroniły odmawiania wydawania kart rzemieślniczych osobom mającym odpowiednie uprawnienia zawodowe, wreszcie w nowy sposób rozstrzygnęły rzemiosło od przemysłu.

Przepisy te więc, innymi słowy, stworzyły podstawę do formalnej praworządności w stosunku do rzemiosła. Były one bardzo potrzebne. Świadczy o tym wciąż jeszcze istniejące niedocenianie roli i zadań rzemiosła, zwłaszcza przez gromadskie i powiatowe rady narodowe. Jednakże nie rozwiązały one jeszcze wszystkich istotnych problemów rzemiosła.

Nie należy wątpić, że uczynią to inne decyzje, które — zapewne już niedługo — powożenie Partia i Rząd. Do tego jednak czasu — w sensie gospodarczym — nowe

akty prawne zawisły w próżni, nie są podbudowane realną pomocą i opieką gospodarczą dla rzemiosła.

Sprawy te stają się z każdym dniem coraz bardziej palące. Dział faktyczny zakaz wykonywania przez rzemiosło drobnych nawet robót dla gospodarki uspołecznionej, w dalszym ciągu rzemiosło jest zdane na łaskę i niełaskę wojewódzkich związków spółdzielni pracy z wszystkimi konsekwencjami tego faktu — działa więc nadal mechanizm powodujący stałe i silne ograniczanie obrotów uzyskiwanych przez rzemiosło.

I jednocześnie — ponieważ tak się u nas dzieje — działa doskonale sprawny aparat podatkowy: sprawny, gdy chodzi o zabezpieczenie drobnych należności drobnych rzemieślników, sprawny, gdy chodzi o rozkładanie zwiększonego planu wpływów od rzemiosła (chodzi o drobność — o 50 milionów w skali rocznej) na możliwie największą liczbę drobnych rzemieślników; mniej natomiast sprawny — gdy należy zastosować mądre wytyczne, których sens sprawadza się do pełnego opodatkowania dochodów uzyskanych z działalności o charakterze spekulacyjnym, obrotów wysokich i nie uchwyconych jeszcze przez władze finansowe.

Na tym tle zdarzają się liczne poważne przegięcia — wypadki takie, jakie miały miejsce w woj. opolskim i stalinogrodzkim, gdzie rzemieślnicy-autochtoni w wyniku nacisku podatkowego likwidują warsztaty i składają podania o pozwolenie na wyjazd do Niemiec. Można sobie wprawdzie powiedzieć: cóż nam szkodzi, że wyjeżdżają do Niemiec kryptoniemcy —

i tak, być może, myśli sobie taki ob. Piasek w Raciborzu i inni podobni mu urzędnicy; ale można — a raczej trzeba — uświadomić sobie coś całkiem innego: że w ten sposób po prostu usuwa się z Polski byłych powstańców śląskich, członków Związku Polaków w Niemczech, ludzi skrzywdzonych i rozgoryczonych. Jakim prawem i kto śmiało do tego dopuścił? Takie wypadki świadczą o jakimś głębokim zamieniu w aparacie podatkowym, o wręcz niewiarygodnym stosunku do zagadnień politycznych na terenach szczególnie nam drożych, na terenach, gdzie walczą z propagandą adnauerowską. I to wszystko dzieje się po to, aby właśnie nieudolni, skostniałi urzędnicy dostarczali bronii przeciwnikom.

Ale sprawy te mają szerszy aspekt; zagadnienie autochtonów jest istotnie szczególnie drażliwe, ale ono nie wyczerpuje błędów o szerszym zasięgu. Chodzi tu o likwidowanie zakładów rzemieślniczych pod wpływem nacisku podatkowego — o zjawisko występujące ostatnio w całym kraju. Wypadki zamykania warsztatów przez krawców, szewców, tapicerów, instalatorów, wiertników studzien, piekarzy, słowem rzemieślników różnych specjalności, znany z terenu Warszawy, woj. warszawskiego oraz innych województw.

Likwidacja ta następuje albo na tle proponowania przez władze podatkowe tak wysokich rzekawych umownych, że przerażony rzemieślnik zamiast targować się, woli zrezygnować z prowadzenia warsztatu (mając zresztą pewne możliwości nielegalnego jego prowadzenia — nikt go nie będzie ścigał, a więc nie będzie musiał pla-

cić podatków — dotyczy to zwłaszcza instalatorów, krawców, szewców, bielizniarzy itp., rzemieślników do ukrycia), albo też rzemieślnik dostaje wymiar podatku przekraczający jego zdolność płatniczą i wtedy likwiduje warsztat w myśl zasady: bierz co twoje i zmykaj, gdzie pieprz rośnie.

Zawsze prawie łączy się z nieściągalnością należności podatkowych, a w każdym wypadku oznacza zmniejszenie potencjału produkcyjnego i usługowego rzemiosła. A potencjał ten nie odradza się bynajmniej w gospodarce uspołecznionej; najczęściej przepada bez śladu.

Powstaje pytanie: co opłaca się lepiej? Czy likwidacja warsztatów połączona z zapisywaniem na konto „problematicznym” należności skarbowych, czy inna, bardziej realna polityka fiskalna?

Nie ma wątpliwości, że to drugie. Tak też myśli Ministerstwo Finansów. Myśli, lecz nie działa. Dokładniej: działa, ale nie tak szybko, nie z tą cudowną sprawnością, jaką cechuje władze podatkowe zajmujące ruchomości płatnika, blokujące jego konto i rekwirujące jego majątek osobisty. Wydaje słuszne polecenia, ale nie dopilnowuje natychmiastowego wykonania tych poleceń. A wiadomo, że najsłuszniejsze zarządzanie, ma niewielką wartość, jeśli nie jest szybko i sprawnie wykonywane.

Dostrzegamy tu brak koordynacji posunięć naczelnych władz gospodarczych: jedne zabraniają rzemieślnikom pracować dla gospodarki uspołecznionej i przez to stawiają go praktycznie w obliczu likwidacji; drugie — w tym samym czasie — powiadają mu: dwa, trzy lata temu zarobiłeś dobrze — teraz płac. Ale te same władze dobrze wiedzą, że tych dawno zarobionych pieniędzy już nie ma i płacić podatki rzemieślnik może tylko z bieżących obrotów. Skoro ich nie ma, wpada w zaległości — i likwiduje warsztat.

Dlatego stwierdzamy, że należy szybko uczynić dwie rzeczy: przywrócić rzemiosłu możliwość normalnej pracy przez likwidację nieuczynionych ograniczeń (które są źródłem nadużyć — nieprawda, koledzy z CZSP?) i wstrzymać nacisk podatkowy na rzemiosło; tak ustawić wysokość podatków, aby rzemiosło mogło je płacić bez konieczności likwidowania warsztatów lub składania tysięcy skarg i odwołań.

Jerzy Zelistański

Wacław Iwaszkiewicz

Środek nasenny

Cierpieć na bezsenność. Wszelkie lekarstwa okazały się zawodne. Cierpienia człowieka, który kilka godzin młota się na łóżu, zanim zamknie powieki są nie do opisania. Próbowałem różnych domowych sposobów. Czytałem dzieła Kanta, Schopenhauera, Leibniza, Kartezjusza, lecz odnosiło to wręcz odwrotny skutek: odkładałem książkę o świetle i szedłem do pracy.

Aż wreszcie znalazłem „cudowny środek”. Zaangażowałem się na nieetatowego pracownika Głównego Urzędu Statystycznego — bez jego wiedzy i nie zażądanie żadnego wynagrodzenia. Ot tak, potraktowałem to jako jeszcze jedno zajęcie społeczne. Brałem do domu niektóre formularze statystyczne i przed spaniem podliczałem cyfry, najpierw w skali własnego resortu, a potem w skali ogólnokrajowej, tak jak to czyni GUS. Zawsze uważałem, że sprawozdawczość jest rzeczą bardzo ważną i że musi ona dawać konkretne rezultaty. I istotnie też... Wziąłem do ręki sprawozdanie o ilości pojazdów samochodowych i ich wykorzystaniu — formularz T-1-S. Bardzo zajmująca lektura. Dwa-ścieście sześć grup pojazdów używanych w Polsce, obliczyć ilość wozodni posiadania każdego pojazdu. Wziąłem na razie tylko 2 typy pojazdów: Star 20 i Star 14. Jeśli w jednym przedsiębiorstwie jest 3200 wozodni posiadania pojazdów Star 20, to w dziesięciu podległych naszemu CZ jest 32 000 wozodni posiadania, jeśli zaś w resorcie jest 100 przedsiębiorstw o tej samej ilości, to będzie 3 200 000. Jeśli obliczyć to dla dziesięciu resortów, to będzie 32 000 000 wozodni posiadania. Ale chwileczkę — nie zaśniesz, póki nie dowiesz się, do czego te cyfry mają służyć; przecież trzeba otrzymać jakieś dane dla ogólnego, dla wyciągnięcia wniosków.

Przeżyłem więc instrukcję GUS opracowaną specjalnie dla wypełnienia tego formularza. Na okładce książki napis: „wydrukowano 12 000 egzemplarzy”. „Nie wąsko” — pomyślałem. Nizietety, z tej instrukcji nie dowiedziałem się, do jakiego celu mają służyć te cyfry, znalazłem natomiast szczegółowe wskazówki, na podstawie jakich dokumentów można do nich dojść. Ale jestem — przeciętnym samodzielnym pracownikiem, wytyczajmy więc drogę i pomyślimy, do czego ta rubryka może służyć.

Prawdopodobnie chodzi o ustalenie w skali resortów i ogólnopolskiej, w jakim stopniu posiadany tabor jest eksploatowany przez przedsiębiorstwa. Ale jeśli do tego ma służyć ta ogromna

praca, to zachodzi pytanie, czy ilość wozodni posiadania taboru i jego pracy świadczy o jego zużyciu? Jest rzeczą wiadomą, że samochód może być eksploatowany 300 wozodni, natomiast wóz nadający się do kapitalnego remontu może mieć przejechany 1 800 wozodni, a równoześnie być pełnosprawnym. Na zużycie pojazdu składa się szereg czynników, jak ilość przejechanych kilometrów, konserwacja wozu itp.

Spać w dalszym ciągu nie mogę biorąc więc następną rubrykę „rodzaje i ilość jazd z ładunkiem”. Doświadczenie do niebywałych cyfr. W dziesięciu resortach — 10 milionów jazd z ładunkiem. Muszę przyznać, że powieki mi się już zamykały, ale jeszcze nie spałem. Zaczęłem podliczać rubrykę „osiągnięcia w dziedzinie pracy pojazdów”. Wyobraźcie sobie, jakie to było cudowne zajęcie obliczyć ilość godzin pracy wszystkich pojazdów i zestawieć zbiorowisk z 10 resortów.

Pozostało jeszcze wiele rubryk, ale już przy „ilości przewiezionych ton ładunku”, okazało się, że mi cyfry w głowie kotują, zaczęły pojawiać powieki ciężko opadają w dół... zasnąłem. Sen miałem trwały, że nazajutrz spożniłem się do pracy.

— Coż to się stało? — pytają koledzy. — Znalazłem świetny środek nasenny — odpowiadam — i wszystkim kolegom zalecam studiowanie sprawozdawczości GUS. — Ach, to pan łączy pożyteczne z przyjemnym. I do jakich wyników doszedł? — pytali koledzy.

— Obliczyłem, że wykorzystanie ładowności parku samochodowego naszego resortu dochodzi do 85%.

Koledzy uśmiechnęli się. — I pan u to wierzy? — A dlaczego miałbym nie wierzyć? Przecież to są oficjalne sprawozdania, z podpisami, z pieczętami.

— A bo widzi pan, według nas cała ta sprawozdawczość nie jest warta funta kłaków. Przy bliższym badaniu stwierdził pan, że przewóz ton czy tonokilometrów ustala się na podstawie kart drogowych wypełnianych przez kierowcę wozu. Jednakże systemy premiowania kierowców przewidują premie dla kierowców od wykorzystania ładowności wozu. Kierowca więc jest zainteresowany w podawaniu maksymalnej ilości przewiezionych ton.

— Rzeczywiście, panowie, macie rację. Chociaż jednak na darmo to wszystko obliczałem — nie żałuję. Środek nasenny był skuteczny.

ROUGE

Lekkomyślna „Pomoc”

Cztery lata temu PKPG mając na względzie, że odpady fotograficzne są cennym surowcem dla przemysłu, w celu uchronienia ich przed zniszczeniem oraz jak najwięcej uniezależnienia przemysłu krajowego od importu zarządziła...

Od tego momentu rozpoczęła się dziwna — a co najgorsze pełna marnotrawstwa — zabawa „w zagospodarowanie odpadu filmowego”.

Po szeregu przejściowych decyzji pod koniec 1954 roku Spółdzielnia Pracy Produkcji Artykułów Chemiczno - Mineralnych i Ceramicznych w Ursusie koło Warszawy o obiecującej nazwie „Pomoc” została na mocy wielu bardzo urzędowych wniosków „na najwyższym szczeblu” wytypowana jako jedyna w Polsce jednostka upoważniona do skupowania i przerobu odpadu filmowego.

Wiadomo, iż odpad filmowy w postaci złomowanych kopii filmowych, odpadów produkcyjnych wytwórni filmowych i zakładów fotochemicznych, zużytych błon fotograficznych i rentgenowskich jest bardzo cennym odpadem, źródłem poważnego bo do 4% dochodzącego odzysku srebra zawartego w emulsji fotograficznej oraz wtórnym surowcem dla przemysłu chemicznego. Wartość tych surowców podnosi fakt, iż zarówno celuloz jak i chemikalia wchodzące w skład emulsji fotograficznej zmuszają jesteśmy importować za cenne dewizy. O tym, iż odpad filmowy reprezentuje istotną wartość surowcową, świadczą również fakt, że producenci zagraniczni wielokrotnie zwracali się z zapytaniem co do możliwości eksportu przez Polskę tego materiału.

Słuszną była nasza ambicja, by wykorzystać odpad filmowy i przerobić go na cenne surowce. Niestety na tym się skończyło.

Z przykrością, która ogarnia na widok beznadziejności i bezsensowności idące w parze z ogromnym marnotrawstwem, trzeba stwierdzić, iż pomoc spółdzielni „Pomoc” dla naszej gospodarki na tym odcinku jest praktycznie żadna. Mogłoby się zdawać, iż zbyt wiele nadziei wiąże się z pracą jednej spółdzielni pracy, drobnym ogniwem naszego życia gospodarczego. Wokół jednak tej sprawy zaangażowane są poważne autorytety kierownictwa CZSP, dyrektorów departamentów PKPG, no i ogromnej siatki biurokratycznej otaczającej te autorytety. Cyłowanie ilości konferencji na ten sam temat u tych samych ludzi, wyliczenie korespondencji zawierającej te same deklaracje i obietnice mogłoby być pożyteczne za chęć zanędytowania tej z gruntu smutnej sprawy.

Zaczęło się różowo. Centralne Laboratorium Chemiczne CZSP miało lada dzień opracować metodę odzysku srebra z emulsji oraz przerobu zmytego odpadu celulozowego na surowce do produkcji m. in. tworzyw sztucznych. Pierwsze zadanie jest proste, drugie nieco trudniejsze, lecz za granicą znane i z powodzeniem stosowane.

Następny krok był już najcięższy trudnością. Teren, na którym będzie składowany odpad, trzeba ogrodzić, postawić dwu dozorców oraz odciąć ich w ciepłe ubrania. Nie obeszło się bez udziału Przewodniczącego PKPG; tak poważne uzupełnienie etatów i taki dodatkowy program inwestycyjny w gospodarce narodowej nie mógł wymknąć się z planów zatwierdzanych na kilku szczeblach.

Tymczasem odpad filmowy płynął z przeladowanych magazynów jednostek kinematografii. Setki ton cennego surowca, deficytowego, importowanego, wartości około 1,5 mln zł. Nowe trudności powstają z technologia, zmyta emulsja nie jest przerabiana na azotan srebra (srebro to produkt importowany z daleka), a zmyte podłoże acetowe wała się po całym terenie.

Dla amatorów brodenia w pieniądzech zaproponować można spacer po terenie Spółdzielni „Pomoc”. Rozwalone skrzynie z taśmą gniją na deszczu, zmyty odpad — jak liście na jesieni — gnany wiatrem tworzy oryginalne zwaliska i zaspasy. Znakomity, „filmowy” kontrast do uzasadnienia zarządzenia Przewodniczącego PKPG mówiącego o cennym odpadzie, uchronieniu go przed zniszczeniem i oszczędnościach dewizowych. Taśma filmowa — choć już w formie odpadu — wierna tu jest do ostatka swemu zadaniu artystycznemu, tworząc dziwną scenę marnotrawstwa i niefrasobliwości — pełną niestety niezaradności produkcyjnej.

Zagadnienie przerobu odpadu taśm acetu jest nadal nie rozwiązane; mgliste i ciągle prolongowane perspektywy tworzą obraz jakiegoś molocha niszczącego stale i systematycznie ten cenny surowiec wtórny.

Problem rośnie. Rozwój kinematografii powoduje wzrost ilości odpadu taśm filmowej. Najbliższy rok da nową porcję ponad 100 ton, a cała pięciolatka zarzuca bezradną „Pomoc” 700 tonami tego odpadu. Spółdzielnia, zamiast być jednostką produkcyjną, stała się złym składowiskiem, popadając przy tym w zadłużenia ku utraconemu finansistom, widzącym tak poważne przekroczenie normatywu zapasów w jednostkach kinematografii i w spółdzielni.

W imię gospodarności, oszczędności dewizowej wołamy na pomoc inżynierów chemików, PKPG, CZSP: pomóżcie, by Spółdzielnia „Pomoc” czy jakaś inna może bardziej sprawną jednostką stała się faktycznym czynnikiem zagospodarowania i prawidłowego

wykorzystania odpadów filmowych. Dotychczasowy okres przygotowań i prób zapisał się czarnymi zgłoskami w kronice pracy organizacji i gospodarce; nowy rozdział niech zapiszą pierwsze osiągnięcia w tej tak zaniedbanej dziedzinie. Mowa faktów będzie tu rzeczywiście srebrem!

Jerzy Zelistański

SŁOWO W OBRONIE... KSIĘGOWEGO

W swym pełnym służebnej pasji krytycznej artykule „Najważniejsza” Jerzy Putrament („Przegląd Kulturalny” nr 14/56) dwukrotnie zacytuje o zawód księgowego. W tym, co i jak o tym zawodzie pisze wyczuwam przypisywanie księgowemu nadmiaru odpowiedzialności za błędy naszego aparatu gospodarczego, wprawdzie nie mu win, których bądź nie popełnia, bądź popełnia z konieczności lub z przymusu, bądź też nie stoją one w żadnej proporcji do przywar, błędów i win innych funkcjonariuszy naszego aparatu gospodarczego. Wątpię, czy wyróżnianie w tym względzie księgowego dopomógł dotrzeć do istoty błędów naszej gospodarki. Sądzę, że koncentrując uwagę na jednej tylko specjalności zawodu ekonomisty, pomijając przy tym prawa i obowiązki innych specjalności, przed którym przecież mamy się bronić, bo dość już chyba szkód pozwolił mi poczynić.

W swoim czasie Kern opublikował w „Przekroju” bajkę pt. „Struś księgowy”. Czego tam nie ma? Jest spółdzielnia, jest tylko 3/4 głowy, jest i struś, a więc i chowanie głowy (oczywiście w piasek); jest bieganie po bankach, własny reżim i działanie na własną rękę, są gaffy, parafy i widzi mi się, cyfry w rzadku, ubzdurane zasługi i krzywdy drugich, jest — jakże okropna niemuzyczność, no i wreszcie rozłożenie spółdzielni. Rymy są wyjątkowo udane: coż — struś; reżim — leżym; wół — pól.

Gdzie indziej Waldorff (w książeczce satyrycznej pt. „Dwie armaty”) uderza w polski film, a że obrywa przy tym księgowy, to tylko potwierdza prawdziwość przysłowia „Gdzie drwa rabia, tam drzazgi lecą”. Ileż tam finezji, wspaniałego dowcipu, przedniej fantazji! Są i „liczbaki” i to mechanizm, jest pycha, jest wreszcie wspaniała, aczkolwiek niewątpliwie „ratunkowa” dla autora pointa.

Sam nie jestem księgowym, nie bronie więc własnej skóry. Jestem jednak współodpowiedzialny za szkolenie księgowych z wyższym wykształceniem, a więc tych księgowych, którzy z czasem zadejdą, a przynajmniej zadejdą powinni o profilu i pozycji zawodu, a także w pewnej mierze o prawidłowościach rozwojowych naszego życia gospodarczego. W tym stanie rzeczy mam prawo i obowiązek zabrać głos i zanalizować, przynajmniej pewne, cechy i problemy zawodu.

Wystąpienie J. Putramenta i

wystąpienia podobne leżą w swej istocie na linii frontu walki z biurokracją i biurokratyzmem. Walka ta jest najsłuszniejsza i musi być prowadzona z całą bezwzględnością. Nie wiadomo jednak, dlaczego księgowego „ożeniono” z biurokratyzmem?

Biurokracja — biurokratyzm stanowią ulubiony temat drwin, nie tylko prasowych, ale i towarzyskich, filmowych, radiowych i scenicznych. Są tacy, którzy twierdzą, że gdyby nie urzędnicy i biurokracja istniełby wyłącznie opłymiś. Pomyślimy i to podobno posiew biurokracji, zaś księgowość i księgowy — to rzekomo szczyty biurokracji. Czy to słuszne i prawdziwe? W każdym niemal przejawie życia społecznego mamy do czynienia z systemem zarządzania (administracji), w którym sprawy załatwiane są w biurach, z reguły pisemnie, konkretnymi aktami lub na formularzach, przez wyspecjalizowanych urzędników, o pewnym zakresie działania. Urzędnicy ci podporządkowani są urzędnikom wyższego szczebla, którzy z kolei otrzymują dyrektywy od władzy nadrzędnej lub centralnej. Aparat administracyjny weń wchodzi w każdą naszą czynność, jeśli tylko nie jest ona natury całkiem prywatnej. Nauczyciel wpisuje noty do katalogu, sądy i urzędy doręczają zawiadomienia i orzeczenia na piśmie (najczęściej na formularzach), listonosze proszą o pokwitowanie odbioru przesyłek na formularzu. Tak więc każda nasza czynność, każdy nasz krok, który zaczepia jakoby w najmniejszej mierze o społeczeństwo, znajdując odbicie w dokumentach różnego rodzaju, do tzw. recepty czy biletu na przejazd począwszy, a na orzeczeniach władz różnych rodzajów i szczebli — skończywszy. „Von der Wiege bis zur Bahre” — Formulare, Formulare — mówi znane powiedzenie niemieckie. Wszystkie dokumenty są podstawą do zgłaszania pewnych tytułów prawnych.

Takim niezbędnym w dzisiejszym naszym życiu elementem administracji jest księgowy. Nie przynosi mu to żadnej ulgi i może być to tematem dowcipów ludzi, którzy pojęcia i roli administracji nie rozumieją.

Trzeba jednak stwierdzić, iż od administracji, do jej przerosłów, tj. do biurokratyzmu, droga nie jest daleka. Przejawami biurokratyzmu są m. in.: skostnienie, małostkowość i brak wyczucia proporcji; niedostatek poczucia odpowiedzialności, niechęć przysposobowywania się do wypadających z szablonu

sytuacji, bezduszne trzymanie się blednie pojętych paragrafów oraz naważstwostwo w ciągu lat nawyków, a wreszcie wrogość lub rezerwa w stosunku do wszelkich zmian. Poza tym występują inne cechy, czysto zewnętrzne, które możemy zauważyć także i u nieprzeżartego biurokratyzmu biurokraty, lub nawet i u niebiurokraty, a mianowicie: nieskazitelną kitel, zarękawki, kolekcja wzorowo zatemperowanych ołówków itp.

Sumując trzeba stwierdzić (i chyba wszyscy się z tym zgodzą), że aparat administracji (lub pozytywnie rozumianej biurokracji) stanowi konieczny i niezbędny wyposażeń każdego uporządkowanego i zorganizowanego społeczeństwa. Przerosty aparatu biurokracji i wynaturzenia ludzi w nim zatrudnionych są zawsze i wszędzie możliwe i tylko one (a nie poszczególne zawody) powinny być atakowane i ośmieszane.

Księgowi są jedną z licznych części składowych aparatu administracji, go nie przynosi im bynajmniej ulgi, lecz akcentuje wagę zawodu. Równocześnie trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, iż księgowi znacznie łatwiej niż inne zawody stają się w stronę biurokratyzmu, a więc znacznie bardziej niż inni pracownicy aparatu biurokracji muszą uważać na to, by nie zejść na manowce. Szczególnie bacznie muszą na to uważać główni księgowi. Są oni decydującym ogniwem w walce z potencjalnym i rzeczywistym biurokratyzmem wynaturzaniem się aparatu księgowo-finansowego.

Niewątpliwie nie jest w tej dziedzinie dobrze. Decydujących o sytuacji zawodu — głównych księgowych — można podzielić na: głównych księgowych i głównych księgowych. Główny księgowy (typ niestety najczystszy) narzeka na współpracowników, ich kwalifikacje, samodzielną, dokładność, pilność i ofiarność, twierdzi, iż sam i tylko sam musi robić wszystko, przecenia własne siły i kwalifikacje, nie szkoli — bo nie warto i nie ma kogo szkolić — a wreszcie zrzuca na siebie odpowiedzialność.

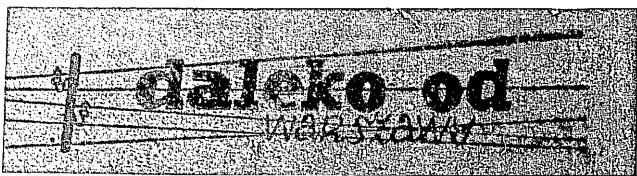
Główny księgowy (typ niestety również często spotykany jak pierwszy), to rutyniarz w pracy, ale nie w kierowaniu nią, skromny i niepewny w ruchach (opiera się więc na współpracownikach), zdyscyplinowany aż do przesady. On także nie lubi dźwigać odpowiedzialności.

Główny księgowy — to typ niestety najczystszy. Ma czas na myślenie i przemyslenie spraw, jest rzeczywistym kierownikiem zespołu, reprezentuje umysłowość interesującą się sprawami zasadniczymi, nie zrzuca, a dzieli i rozstrzyga odpowiedzialność, pamięciowo nad wskazywaniem, prace sprawozdawcze przebiegają przy nim spokojnie i planowo.

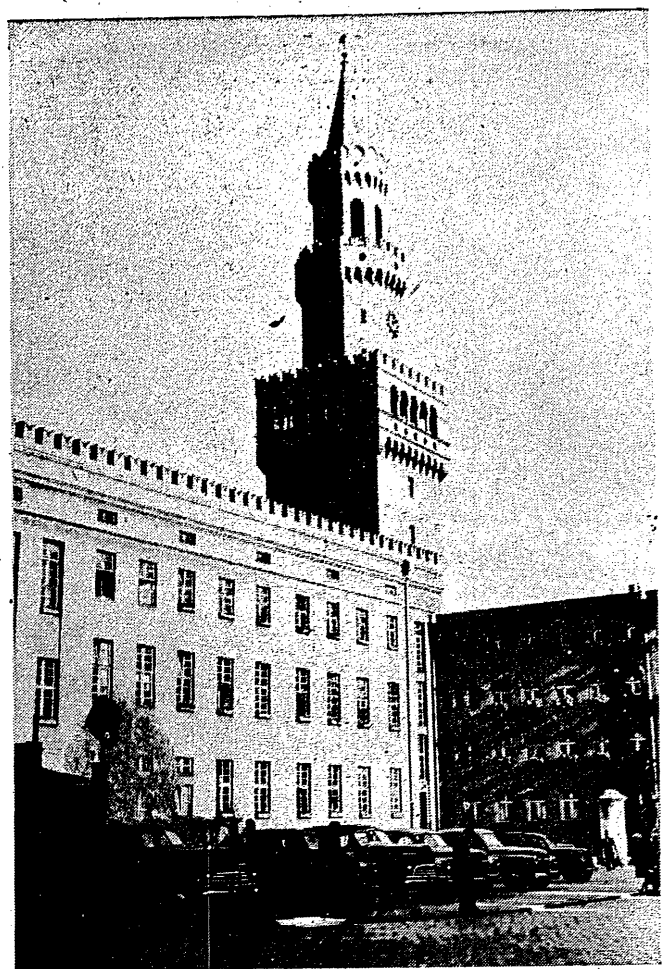
Bronią zawodu — zaatakować go, a więc przynależą, iż nie jest w nim najlepiej. Dlaczego tak jest? Składa się na to wiele przyczyn. Omówić je wyczerpująco nie sposób i nie dla wszystkich byłoby to interesujące. Spróbujmy jednak wypunktować tylko niektóre z przyczyn, a mianowicie te, które są dominujące. Do nich należy przede wszystkim brak ochrony prawnej zawodu ekonomisty, w tym także i zawodu księgowego. Księgowym może być każdy, bez konieczności udowadniania swoich kwalifikacji. Brak również ochrony prawnej tytułu głównego księgowego. Niezależnie od tego Uchwała Rady Ministrów o prawach i obowiązkach głównych księgowych z 1950 roku nie zdaje egzaminu w życiu praktycznym. Wszyscy zainteresowani o tym wiedzą, a mimo to uchwały się nie nowelizują. Poważne znaczenie mają także błędy wyższego szkolnictwa ekonomicznego i to zarówno samego szkolnictwa, jak i Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego; błędy te to przede wszystkim: ustawiczne reorganizacje szkolnictwa ekonomicznego, zmiany jego planów i programów nauczania, błędy w polityce praktyki i zatrudniania.

Widać więc, iż większość przyczyn nienajlepszej sytuacji w zawodzie leży poza głównym księgowym, a więc także i poza każdym księgowym. Nie oznacza to oczywiście, iż sami główni księgowi i księgowi są bez wad. Niecelnymi i niekonkretnymi atakami nie zniechęcajmy młodych i starych pracowników w zawodzie, gdyż to bynajmniej nie przyczyni się do poprawienia sytuacji, lecz tylko do jej pogorszenia. Doprowadzimy do tego, że ośmieszmy zawód w społeczeństwie, hamując i tak już dostatecznie trudny dopływ młodej, świeżej kadry do tego, mimo wszystko, niezbędnego i wewnętrznego zawodu.

Kazimierz Sowa



Ulicami Opola...



Ratusz w Opolu

rowy „Just A. G.” — że było kilka pociągów pospiesznych, natomiast fakty, że nie ma bezrobocia, że żyją dziś na ogół lepiej — uważają za rzeczy „normalne”.

A nie są to rzeczy „normalne” — są to przejawy rewolucji, rewolucji socjalistycznej w Opolu i na Opolszczyźnie. Trwającą rewolucję Opola i Opolszczyzny trzeba kultywować. Teren ten wymaga spe-

cyficznej kultywacji; chodzi o to, aby odpowiednio kultywować. Pomóżmy Opolu, które przez wieki operowało się nawale germanizacyjnej i pozostało wierne Polsce.

Niech Opolanie żyją i gospodują w swoim mieście — po swojemu, po gospodarsku.

JULIUSZ MIKOŁAJSKI

NIE TĘDŲ DROGA CEGLANEJ PRZYSZŁOŚCI

Znany jest powszechnie ostry deficyt materiałów budowlanych. Jak dotąd, potrzeby budownictwa wiejskiego były zaspokajane w wysocie niedostatecznym stopniu, zakładanie więc wiejskich wytwórni materiałów budowlanych należy powitać jako przedsięwzięcie słusne i celowe. Trzeba jednakże zwrócić uwagę na jedno, niezmiennie ważne zagadnienie.

Cóż może być w tym złego, że produkując cegły czy wapno, skoro ich właśnie odczuwamy brak? — zapyta niejedyn czytelnik.

Otóż chodzi o to, że produkcja cegły w warunkach wiejskich spółdzielczych wytwórni jest wysocenie ekonomiczne. Koszty produkcji są dwu- trzykrotnie wyższe niż w dużych ceglarniach.

Większe wytwórnie wypalają cegły i wapno w piecach polowych tzw. mielerzach. Są to piece przestarzałego typu, do których trzeba używać wysokogatunkowy węgla, podczas gdy w piecach kregowych spala się gorsze gatunki węgla kamiennego, a nawet węgla brunatnego.

Tak więc już z tego względu nie należy rozwijać produkcji cegły w polówkach, gdyż pociągnie to za sobą konieczność zużycia znacznych ilości wysokogatunkowego węgla, na co nie możemy sobie pozwolić.

Uruchamianie pieców polowych wymaga również wybudowania suszarni do suszenia surowców. Większość założonych już wiejskich wytwórni zaczęło swoją działalność od złożenia zapotrzebowania na drewno, które zużywają również do wypału wapna.

Tak więc uruchamianie pieców polowych i wypalanie w nich cegły lub wapna spowoduje w skali krajowej dodatkowe poważne zużycie węgla i drewna.

A zatem nie tędy droga do powiększenia produkcji materiałów budowlanych.

Tak jak powszechnie znany jest deficyt cegły, podobnie jest wszystkim wiadome, że to nie piece ceramiczne są wąskim gardłem w produkcji cegły, że istnieją poważne rezerwy, że można w nich wypalić znacznie więcej surowców. Chodzi tylko o to, że suszarnie (naturalne i sztuczne) nie nadążają z jej suszeniem.

Wydaje się więc słuszniejsze budować nowe suszarnie nie przy piecach polowych, ale przy piecach kregowych w zakładach przemysłu terenowego i kluczowego. Będzie można — dzięki temu — zwiększyć produkcję i to znacznie mniejszym kosztem niż w wytwórniach wiejskich.

Wytwórnie wiejskie natomiast mogłyby się zająć przygotowywaniem cegły w stanie surowym i naturalnym jej suszeniem, a następnie dostarczaniem jej ceglarniom do wypału.

Przed wszystkim zaś spółdzielcze wiejskie wytwórnie materiałów budowlanych powinny się zastanowić nad wykorzystaniem lokalnych surowców (kamienia, żużli wielkopieczowego, dolomitu, tufów, torfu, trocin, żwiru) i produkowaniem takich materiałów jak żużli-betonu i gruzobetonu, cegła wapienno-piaskowa, cienne prefabrykaty (pustaki „Alfa”) itp.

Nie należy rozwijać produkcji cegły za wszelką cenę i forsować uruchamiania pieców polowych, gdy możemy mniejszym kosztem rozwijać produkcję w istniejących już zakładach ceramicznych.

Trzeba tylko postawić tu jeden postulat: przemysł terenowy materiałów budowlanych musi przeznaczyć część swej produkcji na zaspokojenie potrzeb lokalnych, szczególnie potrzeb wsi. Przemysł ten nazywa się „terenowy” — właśnie terenowi powinien przede wszystkim służyć. (S)

W 1929 r. — w roku koniunktury — burzliwej statystyka Rzeszy notowała dla Opolszczyzny następujące wskaźniki:

- Górny Śląsk miał najmniejsze przeciętne płace w przemyśle hutniczym i górniczym — spośród wszystkich okręgów Niemiec;
- Tygodniowy zarobek robotnika kształtował się na Opolszczyźnie 76%, a pracownika umysłowego 87% przeciętnego zarobku dla całych Niemiec;
- Podczas, gdy w przemyśle górniczym i hutniczym Nadrenii-Westfalii średni zarobek roczny wynosił 2 325 RM — to na Opolszczyźnie 1 897 RM;
- 53,3% pracowników Opolszczyzny nie osiągało w koniunkturalnym roku 1929 minimum egzystencji (1 200 RM rocznie);
- Żadna inna część Niemiec jak Opolszczyzna i Górny Śląsk trapiła klęską bezrobocia;
- W 1930 roku na 1 000 mieszkańców Opolszczyzny przypadało 67 bezrobotnych (na 1 000 mieszkańców Niemiec przypadało 44 bezrobotnych);
- W 1930 roku na Opolszczyźnie i Górnym Śląsku było ponad 100 tys. bezrobotnych.

Tak było. Takie były podstawowe, strukturalne objawy kryzysu Opolszczyzny. Dziś ich nie ma.

Widmo strukturalnego kryzysu znad Opolszczyzny zniknęło bezpowrotnie. Opolszczyzna raz na zawsze przestała być „Hinterlandem”. Wraz z kryzysem zniknęły jego objawy: bezrobocie, niska stopa życiowa.

W przeciwieństwie do przedwojennego „Hinterlandu” Opolszczyzna znajduje się dziś w grupie województw będących gospodarczym sercem naszego państwa państwowego, a tym samym w kręgu szczególnych zainteresowań rządu i partii.

Jeśli miasta wojewódzkie można nazwać dziećmi stolicy, to spośród jej ostatnich trojaczków (Opole, Zielona Góra, Koszalin) Opole wydawało się dzieckiem najdorodniejszym. Wiele było tu temu mówionych i pisanych przesłanek, które świadczyły o takiej tezie. Opole — miasto historyczne, historyczne w dziejach najnowszych Polski. Historia ostatnich kilkudziesięciu lat Opola należy — poza tragedią Warszawy — do najpiękniejszych, a zarazem do najtragiczniejszych kart historii naszych miast. Lata pierwsze niepodległości, powstania śląskie — Opole.

ZA FASADAMI LUBLINA

Świątlica Zakładów Obuwia im. Mariana Buczka w Lublinie. Pod sufitem i na ścianach resztki dekoracji, haseł, plakatów. Pod ścianami na podłodze, na brudnych barłogach, obwarowanych resztkami poobdrapywanych mebli gnieźdzą się ludzie. Pięć rodzin z małymi dziećmi wegetują tu (bo przecież nie można powiedzieć, że mieszka) od dłuższego już czasu. Całość sprawia wrażenie jakiejś prowizorki, nastawionej jednak na dłuższą metę. W oczach matek wyczytać można ból, na obliczach dzieci maluje się smutek.

Skąd się ci ludzie tu wzięli, dlaczego żyją w tak okropnych warunkach?

Historia jest naprawdę tragiczna. Tym tragiczniejsza, że dość typowa dla Lublina. Nakreślony obraz świetlicy Zakładów im. Buczka nie jest niestety odosobniony. Podobny można spotkać w świetlicach innych zakładów Lublina. Gnieźdzące się tam rodziny — to ludzie, którzy stracili dach nad głową. Ludzie, którzy musieli wyjść z walących się domów, a mieszkań zastępczych nie ma.

Sytuacja mieszkaniowa w Lublinie jest wręcz katastrofalna, nawet na tle ogólnie, jak wiadomo, ciężkiej sytuacji mieszkaniowej w kraju. Przytoczę parę cyfr. Chciałbym jednak od razu zaapelować do tych, którzy odpowiedzialni są za sytuację mieszkaniową w Lublinie, aby na przyszłość nie patrzyli nie tylko jak na suche dane statystyczne, ale by spojrzeli na nie z punktu widzenia doli kobiet i dzieci ze świetlicy Zakładów im. Buczka i wielu innych rodzin znajdujących się w podobnym położeniu.

29 osoby na jedną izbę przypada w Lublinie (według stanu na koniec 1955 r.). Jest to wskaźnik zaskarżający wysoki. W tym względzie Lublin dzięzi niebył zaskarżający prymat w kraju. Dla porównania podać trzeba, że średnie zagęszczenie mieszkań w Polsce (w miastach) wynosi 1,7 osoby na jedną izbę. W Lublinie przypada więc więcej niż o pełną osobę na izbę. I to na jaką izbę? W dużym odsetku są to małe klitki, wilgotne sutereny, przewiewne poddasza, walące się rudery.

Lata międzywojenne, szczyt uciśku narodowościowego — Opole. Noc okupacji — bracia z jednej opolskiej rodziny w przeciwnych okopach. Rok 1945 — triumf polskiej myśli politycznej na Opolszczyźnie.

Dziś — Opole i Opolszczyzna, to teren skłębionych i zalegających się sprzeczności — politycznych i gospodarczych. To teren, który chyba pod najbardziej wieloma względami nie pasuje w swej specyfice do generalnych i opartych na zasadzie „urawniłowki” posunięć władz centralnych do tzw. terenu.

Opole robi na przybyszu od razu silne wrażenie. Przybysz zastanawia się wprost, gdzie leżą tego przyczyny. Porozmawia tu i ówdzie, dowie się, co boli przede wszystkim ludzi Opola i Opolszczyzny. Przeciętni mieszkańcy Opola zaczynają od rzeczy dla nich najistotniejszych: „Wydaje nam się, że jesteśmy upośledzeni, choćby w tak prostych sprawach jak komunikacja i handel”. Istotnie, Opole jest dziś jedynym miastem wojewódzkim w Polsce, które nie wiadomo dlaczego, nie ma tego co wszystkie miasta wojewódzkie w Polsce mają. Nie ma „Powszechnego Domu Towarowego” i „Własnego” pociągu pociesznego do Warszawy. Te dwie na ogół blache sprawy nurtują jednak mieszkańców Opola i nasuwają im zgola niecodienne wnioski o złym traktowaniu ich miasta przez „górnę”.

Przybyszowi wydaje się, że dom towarowy, pociąg pospieszny i jedno kino w Opolu są sprawami dnia codziennego jego mieszkańców. Niewątpliwie sprawy te są częścią złożonej i specyficznej ekonomiki Opola i Opolszczyzny. Jednakże dopiero po zagłębieniu się w ekonomiczny model tego terenu, widać inne — nurtujące i ważniejsze. Jeśli Opole nie jest dziś w pełni kwitnącym miastem to wydaje się, że winni są ci, którzy traktują Opole tylko jako jedno z 17 miast wojewódzkich kraju.

Revolucja socjalistyczna przyniosła Opolu wyzwolenie społeczne i narodowe. Ten moment należało jak najszybciej wykorzystywać w polityce gospodarczej. Nie można nie wykorzystywać dla budownictwa gospodarczego Opolszczyzny takiego atutu, jakim jest zapal-

zrodzony z wyzwolenia społeczne-go i narodowego. Niestety nie zawsze i nie wszędzie umieliśmy do tychczas taką politykę prowadzić. W wielu przypadkach brak nam argumentów „że jest lepiej” i brak nam autorytetu. Wśród gospodarnego i pracowniczego ludu Opola te organy władzy ludowej, które są nieudolne, które dopuszczają do marnotrawstwa — nie znajdują autorytetu. Kredyt władzy ludowej został nieraz nadzarpnięty. Nie w zagadnieniach zasadniczych, a w tych drobnych, lokalnych, możliwych do przezwyciężenia, a objawiających się jako — wyraźnie na Opolszczyźnie niepopulärne — zjawisko niegospodarności.

Weźmy samo Opole. Było zniszczone w 60%. Połowę zniszczeń już odbudowano. Dziś w Opolu mieszka więcej ludności niż przed wojną (52 tys. w 1939 r., 55 tys. w 1956 r.). Ale czy to wystarczy? Wydaje się, że nie. Opole można było, a przede wszystkim należało już całkowicie odbudować. Fasady troskliwie odbudowywanych starych kamieniczek na Rynku nie zastępują czystych jeszcze gruzów.

Opole — mimo 6 lat „praktyki” w tej dziedzinie — nie robi wrażenia miasta wojewódzkiego. Raczej ot, większego miasta powiatowego. Sklepów mało, istniejące bardzo źle zaopatrzone. Żle zaopatrzone budzi chyba najwięcej niezadowolenia wśród mieszkańców Opola. Po atrakcyjniejsze towary jeździ się do Wrocławia i Stalino-grodu. W ten sposób „wycieka” z Opole rocznie 160 mln zł — wydatkowanym na zakup towarów poza granicami województwa. Od 10 lat Opole walczy o dom towarowy. Z roku na rok otrzymuje tylko obietnicę. Wreszcie w końcu ub. r. dobito targu na rozpoczęcie budowy domu towarowego w 1956 r. Przygotowano dokumentację i plac pod budowę. I wtedy Departament Inwestycji MHW poproszył zawiadowcę MRN w Opolu, że budowa domu towarowego w tym mieście została... skreślona z planu. Taki jest jeden z „kwiatków” macoszego traktowania miasta, które powinniśmy traktować jak najbardziej po macierzyńsku.

Zbyt wolne tempo odbudowy miasta komplikuje jego sytuację mieszkaniową. Staje się ona coraz

co. Przy obecnym tempie budownictwa w Lublinie nie można się w żadnym wypadku spodziewać polepszenia sytuacji mieszkaniowej. Bo czyż można wnioskować inaczej, jeżeli plan na 1956 r. zakłada wybudowanie mniejszej ilości izb mieszkalnych (1480) niż w roku 1955 (1827). Obie te liczby są zresztą, biorąc pod uwagę potrzeby, śmiesznie małe. Aby jako tako zaspokoić najniezbędniejsze potrzeby, trzeba budować w Lublinie co najmniej 4,5-5 tys. izb rocznie. W dzisiejszej bowiem sytuacji — przy małej ilości nowobudowanych domów z jednej strony, a wysokim przyroście naturalnym i dużej ilości budynków wypadających z użytku na skutek zniszczenia, z drugiej — kryzys mieszkaniowy stale się pogłębia.

Sprawa jest pilna. Czas najwyższy, aby w planach Ministerstwa Budowy Miast i Osiedli Lublin przesunął się z ostatniego na jedno z pierwszych miejsc. Chodzi tu zresztą nie tylko o zwiększenie funduszy i przydziałów materiałowych. Konieczne jest także poważne wzmocnienie organizacyjne i techniczne Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego w Lublinie — generalnego wykonawcy budownictwa zorouskiego. Obecny jego stan organizacyjny i zaplecze techniczne (brak odpowiednio urządzonej bazy produkcyjnej w postaci zmierzających warsztatów, zakładów prefabrykacji, bazy transportu itd.) są niewystarczające nawet dla bieżących potrzeb.

Lublin i jego pałace potrzeby mieszkaniowe polecam uważać resortu gospodarki komunalnej.

Roman Frenkel

Jeszcze jeden Kolumb dzisiaj!...

Był jeden zjazd (teoretyków), a na zjeździe był jeden minister — broń Boże nie oficjalnie — nie mniej jednak reprezentował praktykę. Ot po to, żeby teoria nie oderwała się od niej i żeby nie zbłądziła. Ale teorie bywały niepoprawne. Postulują, aby zrewolucjonizować nie było marnotrawstwa (a nie w teorii), żeby działały ekonomiczne bodźce oszczędzania, postępu technicznego, wzrostu wydajności pracy, żeby produkcja dopasowywała się do potrzeb konsumpcyjnej. Rzecz to nielutwa i niemała, a przede wszystkim utrudniająca życie biurokracji. Ba, podważająca same jej podstawy.

Więc też minister wystąpił do boju na trybunie. Oczywiście nie jako oficjalny przedstawiciel „sojalizmu biurokratycznego”, skądzie znowu. W walce przeciw przybici się nie otwiera — „la guerre comme à la guerre” (notabene na Zjeździe stwierdzono, że toczy się obecnie zafarta walka o istotę so-

cializmu, walka między biurokrytym a demokratyzmem). Po prostu wystąpił jako prywatny ekonomista-naukowiec.

Mowa była... długa. Najpierw pospasyły się gromy na zło pleniące się w nauce: a więc na „monopol czolowik, cytatomanię itd. Później podkreślone zostały bajkowe osiągnięcia praktyki gospodarczej, których jesteśmy świadkami; wreszcie — clou programu: przyszła kolej na krytykę tezy i wniosków wysuwanych na Zjeździe (bo mogłyby zatruć życie biurokracji), no i postulaty „pozytywne” nie dla nauki). Oczywiście nie bez akcentów politycznych (wszak polityka to skoncentrowany wyraz ekonomiki) ujawnione zostały w sposób odkrywczy przyczyny powstawania nowych i rzecz jasna, błędnych koncepcji teoretycznych.

A więc: po pierwsze — naukowcy zapominają, że istnieją różnice ustrojowe między kapitalizmem a socjalizmem;

po drugie — nie pamiętają o tym, że była Rewolucja Październikowa, że istnieje Związek Radziecki i wypracowane przez niego teorie i metody gospodarowania;

po trzecie — nie uwzględniają faktu, że istnieje partia i bodźce rodzące się z obowiązku partyjnego.

Jakie stąd wnioski dla teorii, dla nauki — wręcz oplakane. Oto one:

Nie należy zastanawiać się nad teorią przedsiębiorstwa socjalistycznego i usiłować wykorzystywać w kierowaniu tym przedsiębiorstwem doświadczeń zaczerpniętych z nauki burżuazyjnej, nie należy przeprowadzać radykalnych zmian w systemie kierowania przedsiębiorstwami bo:

a) przedsiębiorstwa socjalistyczne i przedsiębiorstwa kapitalistyczne — to dwie nieporównywalne kategorie,

b) przedsiębiorstwa kapitalistyczne dlatego dobrze funkcjonowa-

ły, że nie były prowadzone w oparciu o naukę (sic! nie ma nawet teorii o przedsiębiorstwie kapitalistycznym, są tylko luźne tezy),

c) w oparciu o istniejący model przedsiębiorstwa socjalistycznego i dotychczasowy system kierowania nim Związek Radziecki dogonił w rozwoju państwa kapitalistyczne (jednym słowem dobrze jest jak jest).

Niedocelowe są poza tym rozważania teoretyczne nad dynamiką i proporcjami rozwoju działu I i II, ponieważ zagadnienie to rozstrzygnął XX Zjazd KPZR, a poza tym u nas jest to raczej sprawa patriotyzmu niż ekonomiki. Oto świetlane perspektywy, jakie przed nauką rozciąga biurokracja. Oto jakie zamówienia społeczne na teorię przedłożyła praktyka, reprezentowana (aktywnie) przez jednego ministra, który w swoim wystąpieniu na Zjeździe Ekonomistów usiłował dobiec bezcelowości jej usiłowań. Bezcelowości usiłowań, by praktyka wykorzystwała, kiedykolwiek zdobyte teorii.

Boruta

ŻYCIE gospodarcze

WYDAWCA „Polskie Wydawnictwa Gospodarcze” Przedsiębiorstwo Państwowe, Warszawa, ul. Poznańska 15. — REDAGUJE KOLEGIUM. Redakcja: Warszawa, ul. Hoża 35, tel. 8-83-52. — Warunki prenumeraty: rocznie 36 zł, półrocznie 18 zł, kwartalnie 9 zł. Cena 1 egz. 2 zł 150. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przysyła się do wydawcy pocztowo i listownie. Instytucje i zakłady pracy, mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, składają zamówienia w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Zamówienia na prenumeratę należy składać od dnia 11 do dnia 10-mca poprzedzającego okres prenumeraty. Świadczy Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”. Druk: RSV „Prasa”, ul. Marszałkowska 3/5, Zam. nr 571, Warszawa, B-7-2-309.